

Nr 3 (98)

CZASOPISMO LITERACKIE

2024



ISSN 1732-1069



**PEGAZ
LUBUSKI**

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 3 (98) 2024

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Gabriela Rodak, Magdalena Turska

Druk: SONAR Sp. z o.o.

ul. Kostrzyńska 89

66-400 Gorzów Wielkopolski

Na okładce znajduje się fotografia autorstwa Agnieszki Moskaluk

W numerze prezentujemy fotografie autorstwa Tomusza Hołyńskiego

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

DROGOWSKAZY

Dokąd teraz? Przed siebie! Naprzód! Prostą drogą lub na przetaj. Z niebem gwiaździstym nad głową. Z mapą, GPS-em, kompasem. Lub bez. Tak, by tylko ślad stóp na piasku dawał świadectwo podróży. Albo – by spuchły kieszenie od nazbieranych skarbów.

Oto droga / twojego imienia / jest taka jak myślisz / i jedyna / nie możesz zabłądzić / błędzenie jest drogą / nie możesz zawrócić / tam już nic nie ma / nie możesz się zatrzymać / bo nie możesz / się zatrzymać¹

– tłumaczy w jednym ze swoich wierszy Andrzej Sulima-Suryn, krzyski poeta i przewodnik duchowy. Ale chwilę później przestrzega:

Są drogi do ciebie / w piasku i kamieniu / drogi zawite / w pamięci i sumieniu / z jesionu i klonu aleje / drożyny wąskie z lusterkiem / prawdy / cieniste ścieżki z zapachem / świata / i pyszne trakty / donikąd².

Więc którą?

Każdy z tekstów zamieszczonych w tym numerze czasopisma daje na to pytanie inną – choć w każdym przypadku, równie właściwą – odpowiedź i przestanie: zostawiasz na drodze ślad, ale i droga zostawia ślad w tobie...

A ja przypominam sobie o wyjątkowym miejscu, które też może stać się celem jednej z naszych mikrowypraw. W Witnicy od 30 lat istnieje Park Drogowskazów i Słupów Milowych Cywilizacji. Jego koncepcję w 1994 roku wymyślił regionalista i pedagog Zbigniew Czarnuch (w tym samym roku koncepcja ta została nagrodzona w ogólnopolskim konkursie *Małe Ojczyzny – przeszłość dla przyszłości* rozpisany przez Fundację Kultury i Akademię Małych Ojczyzn). Sam Park Drogowskazów powstał rok później i do dziś jest „instalacją”, która zdecydowanie wykracza poza proste rozumienie drogowskazu jako znaku wskazującego właściwy kierunek w podróży. Dzieli się na cztery działy: Przestrzeń kultury drogi; Przestrzeń słupów milowych cywilizacji; Przestrzeń fantazji oraz Przestrzeń refleksji. Ta zwana jest także Drogą donikąd – z zaporami przeciwpancernymi, kolczatkami, tablicami ku czci tych, którym cześć się nie należy, a nawet z fragmentem berlińskiego muru.

Bo, faktycznie, lepiej jest rozpoznać drogi donikąd i trzymać się z dala. Właściwa droga rzuci się w końcu pod nogi, nawet jeśli trzeba będzie przeskoczyć przez mur lub go zburzyć.

Agnieszka Moskaluk

Redaktorka naczelna Pegaza Lubuskiego

¹ Andrzej Sulima-Suryn, *Światło* (strona 26, wiersz *Oto*); Wydawnictwo Jokov 2007

² Andrzej Sulima-Suryn, *Światło* (strona 27, wiersz *Drogi*); Wydawnictwo Jokov 2007

Joanna Ziemińska-Kurek

Pewność

na drugim brzegu
dostać się tam – umrzeć
nie całkiem tylko tu na ziemi
ziemską śmiercią
tam – znaczy żyć
tyle wiem

Wielki głód w środku
patrzę na was –
pewna waszej pewności

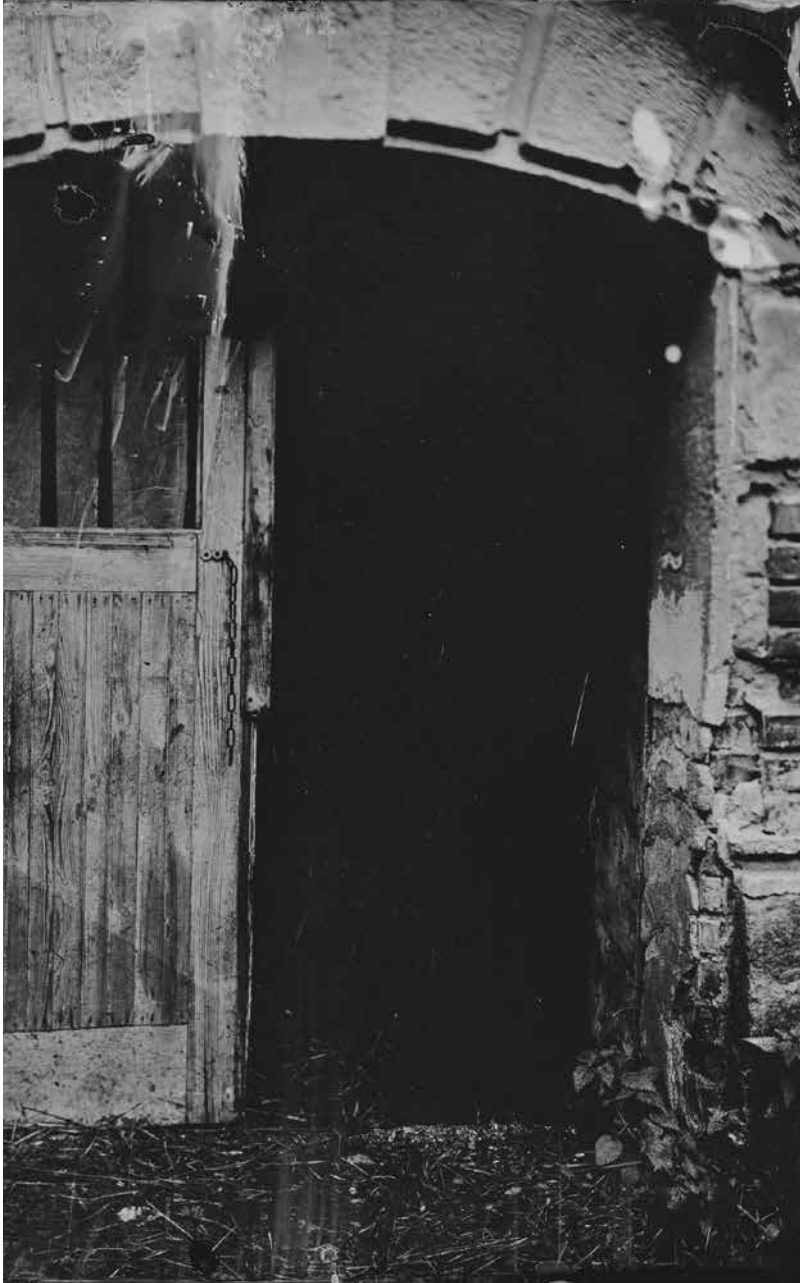
powiedzcie
jak jest

powiedzcie hasło
niech otworzy się
choć okno
mały lufcik

Stoję nad urwiskiem

wyciągam ręce
aby powiązać brzegi





DROGOWSKAZY, CZYLI SZTUKA OPowieŚCI

Jerzy Alski

Spółród trzech protagonistów, których spiszek składa się na to, że pewne opowieści czytamy, a pewnych nie, spośród autora, narratora i bohatera to narrator jest tym, który kręci całością. Najbardziej tajemniczy, najbardziej fikcyjny, najważniejszy. Jest osobą, nawet jeśli w nie do końca zrozumiąły sposób – jest podmiotem narracyjnym, osobą, która opowiada. Wyobraźmy sobie: narrator ma rewelacyjną historię do opowiedzenia, a autor mówi: pocatuj mnie w dupę, przyjdź jutro, mam kaca. Narrator może pójść gdzie indziej i opowiedzieć swoją historię komuś innemu. Albo inaczej: autor czuje fenomenalną opowieść, a narrator powiada: jutro, może pojutrze, strułem się, brzuch mnie boli, mam biegunkę. Autorowi pozostaje czekać, aż narrator uzna, że wrócił do zdrowia. Jeszcze inaczej: bohaterowi zdarzają się niebywałe przygody, rozgląda się, kto by mógł to opowiedzieć, a tu nikogo. Bohaterowi pozostaje napisać pamiętnik albo wspomnienia, a wszyscy wiedzą, że to akurat jest literaturą z reguły beznadziejną. Czyli narrator wymiata – on może wszystko, reszta nawet nie ma co podskakiwać.

Osoba narratora ma swoją typologię. Narrator w pierwszej osobie – najprostszy, bo tutaj bohater opowiada o sobie, o przypadkach, które mu się przydarzyły i ich konsekwencjach. Bohater sam z siebie kształtuje naszą czytelniczą ciekawość, zostawiając nam podkreślone informacje, nie do końca podsumowane zdarzenia, niedokończone puenty i w ten sposób pobudzając naszą ciekawość – aby za kilka, kilkadziesiąt stron przypomnieć nam, że zwracał na coś uwagę i teraz właśnie wydarza się konsekwencja tego, o czym uprzedzał. Talent narratora w tym, aby robić to sugestywnie, aby nieustannie podkręcać ciekawość czytelnika, aby ten, trafiwszy na kolejne zdarzenie, wykrzyknął: No coś takiego! Przypomina to zapomnianą już grę terenową zwaną podchodami, którą pamiętają jedynie osoby z epoki przedsmartfonowej, a polegającą na tym, że jedna grupa ucieka i zostawia ślady – strzałki, na przykład, albo notatki, zaś druga ją goni, ale jest zmuszona szukać tych strzałek albo wykonywać polecenia zawarte w notatkach ukrytych w nieoczekiwanych miejscach, na drzewie, na przykład, albo nawet w kominie. Fenomenalna gra – i w tym miejscu po raz pierwszy pojawia się słowo-klucz, mianowicie: drogowskazy, bo czymże innym są te strzałki i wskazówki, jeśli nie drogowskazami? A przywilej narratora w pierwszej osobie w tej grze jest taki, że ma on w tak konstruowanej opowieści fenomenalną szansę przedstawić siebie w najbardziej interesującym świetle.

Narrator w trzeciej osobie. Opowiadający niejako z offu o zdarzeniach i ich konsekwencjach. Swobodny i wyluzowany – nikt mu nie podskoczy, a już w szczególności nie bohater, może obsmarować, gocho chce i zachwalać, co chce. Może

opowiadać tak, jakby go nie było, a opowieść opowiadała się sama, może też dawać do zrozumienia, że niektóre zdarzenia sam widział i przewidywał ich konsekwencje, może opowiadać, wcielając się to w jednego, to w innego bohatera; liczba sposobów, którymi dysponuje narrator trzecioosobowy w zostawianiu znaków, drogowskazów, wskazówek jest o wiele bogatsza, aniżeli w wypadku narratora pierwszoosobowego, ale też wymagająca większej zmyślności i bardziej ryzykowna. Z tego powodu jest to narrator skory do rozmów z autorem – często będących świadectwem jego niepewności.

– Kolego – mówi autor. – Co ty za bzdury opowiadasz? Kto w to uwierzy i przede wszystkim, do czego to doprowadzi?

– Poczekaj chwilę – odpowiada narrator. – Bohaterka oczywiście spadnie z tego dachu i to razem z kotem, po którego tam polazła jak jakaś głupia, ale zdaje się, że dołem będzie przejeżdżał ten facet, którego obaj lubimy, w tym kabriolectic, którego odziedziczył po ojcu, i ona mu zleci na tylne siedzenie, wprost w rózę, które on wiezie swojej dziewczynie na pożegnanie, bo on idzie na wojnę – to już ci mówiłem, ale ta druga mu tam zleci, pokłuje sobie tyłek, a kot się rzuci na niego i on wpadnie do rowu tym kabrioletem, a w rowie, to wiesz, może on się zajmie tym jej skutym tyłkiem? Ty wiesz, jakie to daje możliwości?

– No, tak – mówi autor. – Może masz rację. To jedziemy.

Jest jeszcze narrator w drugiej osobie, ale jest to figura trudna, rodzaj demiurga wiedzącego wszystko do ostatniego okruszka na długo przed bohaterem, uprawia on nieustanną żonglerkę znakami i drogowskazami i z tego powodu jest zastrzeżony dla opowieści metafizycznych, w których trafiają się zdarzenia nadprzyrodzone, których podłoże narrator w drugiej osobie zna od początku, a bohater niekiedy długo nie ma o nich pojęcia. Fenomenalną opowieścią tak skonstruowaną jest *Aura* Carlosa Fuentes, z punktu widzenia narracji powieściowej dzieło genialne, ale nie tylko z tego punktu: jest to również gotowy przepis, jak zachować miłość na wieczność. Trzeba się tylko odważyć, bo drogowskaz czeka.

W jaki sposób tworzy się drogowskazy? Postaram się to wyjaśnić na dwóch przykładach. Pierwszy dotyczyć będzie skonstruowania drogowskazu do całej opowieści, drogowskazu stworzonego ze zrećznością genialną, śmiałą i wizjonerską, bowiem narrator, tutaj w trzeciej osobie, nie mógł z precyzyjną dokładnością znać przyszłych zdarzeń, a te rozciągają się na kilkadziesiąt lat, ale, rozpoczynając opowieść wzniesieniem takiego drogowskazu, nie pozostawił sobie drogi ucieczki. Być może zrobił to świadomie i tu przypomnę powiedzonko Alfreda Hitchcocka: *Na początku mamy trzęsienie ziemi, a potem emocje stopniowo rosną*. Taka właśnie jest ta opowieść, którą mam na myśli: Gabriel Garcia Marquez *Miłość w czasach zarazy*. Wydanie, które mam przed sobą, liczy ponad czterysta stron, a ów dający się wyodrębnić drogowskaz zajmuje pierwszych pięćdziesiąt.

Jak na uwerturę to dużo – i przez kilka lat ów wstęp widziałem jako opowieść na tyle odrębną, że nawet podejrzewałem Marqueza, że miała to być opowieść o innych ludziach i zdarzeniach, i że potem jego narrator się rozmyślił, i opowiedział jeszcze inną historię, wobec której pięćdziesięciostronicowy wstęp wypada banalnie, żeby nie powiedzieć – blado. A co nam ów wstęp prezentuje? Śmierć – doktor Juvenal Urbino, osiemdziesięcioletni profesor medycyny na miejscowym uniwersytecie, stwierdza samobójczą śmierć uchodzącego za jego przyjaciela miejscowego fotografa, Jeremiasza de Saint-Amour, sparaliżowanego od pasa w dół uciekiniera z wielu powstań i wojen. Czyta list, który samobójca zostawił dla niego, i dowiaduje się, że o zmarłym przyjacielu nic właściwie nie wiedział, a to, co wiedział, nie było prawdą. Odwiedza jego kochankę, o której też nie miał pojęcia, a ona jest już w żałobnym stroju. Następnie narrator wspomina o papudze doktora, która akurat tej niedzieli uciekła na drzewo, papudze niezwyklej, bo śpiewającej mszę i mówiącej po łacinie nie gorzej niż arcybiskup miejscowej katedry, papudze, która niegdyś wpadła we wrzącą zupę i wykaraskała się z poparzeń, stając się jedynie bardziej pyską w sporach z doktorem. Do papugi wezwani zostają strażacy, którzy rujną patio, ale jej nie łapią. Pojawia się małżonka doktora od kilkudziesięciu lat, Fermina Daza, narrator wspomina jedną z niewielu awantur, jaka wybuchła między nimi, awanturę o mydło, którego nie było i która to awantura omal nie doprowadziła do rozstania tych dwojga, w każdym razie doktor, proponując arcybiskupa na rozjemcę, został przez małżonkę odprawiony okrzykiem: A pieprzyć arcybiskupa! – co daje niezłe pojęcie o jej charakterze. Następnie jest przyjęcie, wydawane przez doktora Lacidesa Olivellę z okazji okrągłej rocznicy uzyskania dyplomu, na które, jako niemal najważniejsi goście, zaproszeni są małżonkowie, a poza nimi ponad setka osób, przyjęcie zaplanowane na świeżym powietrzu, które staje się katastrofą wskutek monstrualnej burzy, która zjawia się znienacka i z siłą nieokiełznanego żywiołu demoluje wszystko wokół. Jakoś udaje się je poskładać, deser przygotowany w klasztorze przywozi syn doktora Urbino, też lekarz, samochodem upapranym błotem po dach. Małżonkowie Urbino wracają do domu, doktor wchodzi na patio, a tam, na najniższej gałęzi drzewa czeka na niego papuga. Doktor pragnie ją schwytać, wchodzi na kilka stopni stojącej przy drzewie drabiny, wyciąga rękę, traci równowagę, upada na ziemię, skręca kark i dokonuje żywota. Wszystkie opisane dotąd zdarzenia obejmują jeden dzień, ale to jeszcze nie koniec drogowskazy. Cierpliwości, do jego końca kilka stron.

Odejście tak znamienitej osoby wyzwala poczynania ostentacyjnie żałobne – odbywają się msze, pochody, akademie ku czci. Przez dom przewalają się tłumy żałobników, Fermina Daza radzi sobie z sytuacją z trudnością, coraz bardziej zdając sobie sprawę, jak małżonek, który był zszedł, uzależnił ją od tego, że był przez kilkadziesiąt lat obecny w jej życiu, a teraz go nie ma i co ona ma, cholera

jasna, zrobić, i tu zjawia się kolejna postać, właściciel Karaibskiego Towarzystwa Rzecznego z liczną flotyllą statków, wiekowy sukub odziany w żąbny garnitur, który towarzyszy mu, co podkreśla narrator, od niepamiętnych czasów, użytecznie roznoszący herbatę i serowe ciasteczka dla żąbników, dostawiający krzesła, otwierający drzwi, zamykający drzwi, małomówny i dyskretny. Nadchodzi moment, kiedy wszyscy wreszcie idą do domu i wówczas ów sukub, stary i tysy, oświadcza: *Fermino, od ponad pół wieku czekam na tę sposobność, aby raz jeszcze ponowić przysięgę o mojej dozgonnej wierności i wiecznej miłości*. Fermina Daza wpada we wściekłość, wyrzuca go z domu i idzie spać. Płacze przez sen, ale kiedy się budzi, zdaje sobie sprawę, że płacząc podczas snu bardziej myślała o Florentinie Arizie niż o zmarłym mężu. Koniec wstępu, koniec budowania drogowskazu do dalszych zdarzeń. Jakich? Na takim fundamencie można nowy kosmos stworzyć, nie tylko historię z życia kilku osób. Geniusz narratora Marqueza pozwolił mu zbudować piramidę z pozornie zwykłych zdarzeń, zaś kiedy zaczął ją drążyć i wykuwać sztolnie, to, co zostało do tej pory opisane, zblednie do zdarzeń co najmniej banalnych. Nie opowiem nic więcej, mając nadzieję, że tych, którzy nie natknęli się na *Miłość w czasach zarazy*, tym sposobem zachęcę, powtarzając za narratorem jedynie zdarzenia ze wstępu do opowieści i zapewniając, że jest to jeden z najlepiej napisanych drogowskazów, po którym niejedno trzęsienie ziemi nastąpi – tak, jak zapowiedziano.

Drugi przykład dotyczy drogowskazu sytuacyjnego – daleko częściej spotykanego aniżeli ten pierwszy, warunkujący cały bieg opowieści. Ten drugi zdarza się w trakcie opowieści, najczęściej w celu wywrócenia do góry nogami opowiadanej historii, chęci i niechęci bohaterów. Często określa się go mianem: zwrot akcji, ale to nie jest to; zjawienie się takiego drogowskazu, sentencji burzącej w nadmiarze dotychczasowy porządek i relacje między bohaterami, zwrot akcji, podsumowany wybuchem bomby kruszącej beton zrzuconej na kwietny ogródek, jest wcale często popisem bohatera: popatrzcie, na co mnie stać, ale i narratora: nie uciekniesz z tej ścieżki i nawet, jeśli pójdziesz gdzie indziej, los przyprowdzi cię tutaj z powrotem i będziesz musiał się zmierzyć z tym, coś głupio powiedział albo zrobił. Boleśnie się zmierzyć. Drogowskaz często spotykany w historiach opowiadanych w pierwszej osobie, gdzie bohater jest również tym, który opowiada. Należy zważyć, czy bohater nie opowiada o czymś zbyt szczegółowo – to są takie momenty. Ilustracją będzie zdarzenie z powieści o tytule *Pięść demona*, którą wydałem w ubiegłym roku i – przysięgam – nie ma w tym śladu autopromocji; po prostu tam to zdarzenie jest niesłychanie wyraziste, bo bohater jest jednocześnie narratorem – on po prostu wie, co będzie dalej.

Powieść jest absolutnie zwyczajna: bohater – Michał traci rodziców w wypadku samochodowym w wieku szesnastu lat, opiekę nad nim roztacza ciotka, umiejętnie zonglując między kijem a marchewką, po rodzicach zostaje spory

majątek, do którego Michał powoli dojrzeje. Kończy studia medyczne, zostaje anestezjologiem, wiąże się z dziewczyną inteligentną i piękną, ona go opuszcza, zostawiając go z synem, dla którego staje się tyleż przewodnikiem po świecie, co czułym i opiekuńczym kumplem. Przeżywa romans z dziewczyną nie do końca zdefiniowaną seksualnie, po czym do pracy na oddziale intensywnej terapii, którym kieruje, przychodzi Julia. I zaczyna się magia, trwająca do chwili, w której Michał zastaje Julę w łóżku ze swoim kolegą. Wpada we wściekłość, sypie się szkło, przewracają krzesła, a na zakończenie Michał mówi do Julii coś takiego:
– Módl się tylko o jedno. Może ci się zdarzyć niefart, jakiś wypadek. Możesz przestać oddychać, czy coś. Módl się tylko o to, żeby wtedy mnie nie spotkać, żebym był daleko. Bo jeśli będę blisko, to poczekam, aż umrzesz. Nie wyjmę rąk z kieszeni.

I po co on to powiedział? Po pierwsze, rozgadał się i opowiedział detalicznie, jak się rozgadał – zatem ustawił drogowskaz, jak już wyżej opisałem. Gdyby się streścił, czytelnik mógłby nie zwrócić na ten fragment uwagi – a tak, zapadł mu on w pamięć. Ponadto obrazowo opisał swoją klęskę, rzucając się z miłości w nienawiść tak głęboką, że aż budzącą dreszcze – nie codziennie słyszy się deklaracje, że ktoś będzie patrzył spokojnie na czyjąś śmierć, aż to drugie umrze. A nienawiść? – o niej za chwilę opowie on sam i całkiem ciekawe rzeczy. Chciał, żeby Julę zabolalo – to oczywiście. I najważniejsze – już to mówiąc, zdawał sobie sprawę, że opisuje sytuację nierealną, no niemal, bo los aż tak zmyślny nie jest – los sobie biegnie i korzysta z okazji.

Michał zmienia miejsce pracy, przyzwyczajenia w zakupach i wótczęgach po mieście, zostaje przez swoje przyjaciółki wciągnięty w zdumiewające i urocze przedsięwzięcie, buduje sobie całkiem nowy świat. I przychodzi epidemia koronawirusa. Teraz będę postugiwał się powieścią – ona opowie lepiej niż ja.

Dwudziestego siódmego marca miałem za sobą trzy pełne dni na oddziale. W kombinezonie, masce, goglach. Zaczynałem się dusić. Starłem się wytrzymać, zostało sześć godzin, śniłem na jawie o długim prysznicu, o deszczu spadającym na moje mokre od potu plecy i wtedy z dotu zadzwonił kolega. – Lepiej, żebyś tu przyszedł.

Była druga w nocy.

Nie miałem siły zejść schodami, zjechałem windą. Jedno piętro. Przeszedłem przez hall, oddzielony szybko od mniej licznych o tej porze pacjentów poszedłem do karetek.

Na noszach leżała Julia. Błękitna, tym zimnym odcieniem błękitu, jaki cechuje sinicę. Oddychała jak zaduszane zwierzątko. Prerażona. Widziałem grozę w jej oczach.

– Ile? – zapytałem.

– Saturacja? Osiemdziesiąt jeden. Wysoka gorączka – sanitariusz poprawiał przewód tlenowy.

– Na górę. Nie martw się – to już było do niej. – Ja tu jestem. Będzie dobrze.

– Ale ty... – to był niemal szept, ale przypomniałem sobie natychmiast. Cios. Pięść demona między oczu. Poczułem fizyczny ból.

– Michaś – zanikający głos. – Ja cię Kocham – wdech. – Tak samo – wdech – jak na początku. Ale ty – wdech – ty mnie zabijesz, wiem.

Odwrociłem się do ratowników. – Jedziemy.

Czoło bolało coraz bardziej.

...

Groteskowy i cyniczny żart losu, myślałem, pchając z ratownikami wózek z noszami, jadąc windą – w ciszy, bo nikt nic nie mówił i słyhać było tylko syk płynącego tlenu, potem przechodząc przez służbę, czekając na kolejne testy Juli, wjeżdżając już z naszymi pielęgniarkami na salę. Groteskowy, ponury żart. Sam przeniósłem Julę na tóżko, przez chwilę jej ręka była na mojej szyi. Oddychała źle. Co za ironia! Coś, czego prawdopodobieństwo miało być mniejsze niż prawdopodobieństwo wrycia się jutro asteroidy w Ziemię, dzięki globalnym zdarzeniom wcisnęło mi do ręki ciasteczko z przepowiednią i ona się właśnie spełniała. A ja nie mogłem pozwolić, żeby ona się spełniła, bo wszyscy powiedzą, że zabiłem Julę. Sam powiedziałem, że będę trzymał ręce w kieszeni i czekał, a teraz okazywało się, że właśnie tego zrobić nie mogę. Nawet daleko bardziej nie mogę, niż gdyby ograniczyć się do moich umiejętności zawodowych. To coś przekraczało je w niebywały sposób, było daleko poza graniczną – i jak pozornie! – linią moich możliwości i umiejętności. Jeśli włączyć w to, jak w tamtej powieści¹, dumę i uprzedzenie – bo ona nie tylko mnie zdradziła, ona mnie poniżyła i ośmieszyła – to nie mogłem w sensie absolutnego nakazu. A jeśli dodać uczucie? Nienawiść jest chorobą miłości, jest miłością zarażoną wirusem. Nie wiem, czy nie była to szalona nadzieja na wyzdrowienie. Jeśli Julia wyzdrowieje – to i ja.

Każdy drogowskaz w opowieści jest jak strzelba Czechowa. Jeżeli wisi na ścianie, niechybnie wystrzeli. Tak też jest i tutaj – wystrzeliła, a jakże! Powiesił ją Michaś – i to on oberwie. Oberwie Julia – bo on do niej strzelał. A potem wszyscy być może będą jednak szczęśliwi i ogromnie niepewni tego szczęścia. Będą starrannie przyglądać się ścianom – strzelba nie da o sobie zapomnieć. Drogowskaz, raz postawiony, stoi i wskazuje kierunek: tam trafisz, jeśli tędy pójdziesz. Drogowskazy, rozstawiane przez narratorkę w opowieści robią to samo, ale i coś więcej: to, że tam pójdziesz, rodzi konsekwencje. Idź, jeśli masz odwagę zmierzyć się z nimi. Nie idź, jeśli się boisz, wyobraź sobie, że to nie ty, ale pozostają przy lekturze. Dzięki niej prędzej czy później pozbędziesz się strachu. A wyobraźni nabędziesz przy okazji.

¹ Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*. Niezwykle popularna wśród Brytyjczyków dziewiętnastowieczna powieść, której główną tezą jest iluzoryczność ocen innych osób. Nikt nie jest takim, jakim wydaje się na pierwszy rzut oka, a bliższe poznanie potrafi diametralnie zmienić ocenę drugiego człowieka.

Iwona Małgorzata Żytkowiak

(do współczesnego poety)

Nie musisz wzruszać, poruszać i burzyć kosmosu. Od najwcześniejszych lat uczyli cię, że nie ma innego świata, nie zbrata się nigdy idiota i filozof. Poezja nie będzie antidotum na braki. Wraki literackie wciąż straszą na dnie. We dnie i w nocy wiecznie poszukują sensu w reanimowaniu trupa. Wyłupać się nie da

zaschniętych na powiekach też, bez wielkich wzruszeń nie ruszy nowy trend poezja nie znajdzie odpowiedzi, nie powiedzie tam gdzie sens, gdzie cel. Jest tyle do zrozumienia, rozum nie ogarnie, nie garnie się do szukania nowych dróg kalecząc stopy o kanty podsuniętych pod nogi kłód. Wieloznaczeń w bród. I by

wybrać moc, potrzeba tkwić tu gdzie nikt nie ma patentu na byt co to by był niczym każdy świt. Kiedy z jutrznią woła nadzieją na sens, dzień wstaje jak zmarszczony płód poczęty w bólach o brzasku bolesnym czerwieniejącym słońcem wydany na świat gotowy na dalszy dzień, cień nocy pozostaje przeszłością z pamięcią krótszą niż myśl.

Niechaj spoczywają w pokoju mędracy, poeci, ci których palił w ręce laurowy wieniec a korona wpijała się cierniami w głowę, ale pisać i nie mieć nazwiska ciskać słowa, gdy krytyka bliska do absurdu doprowadzi każdy wiersz. To przecież zadanie poety.



Czytając Herberta kolejny raz

zmieniłeś mnie,
panie Herbercie,
choć nie szukałam tej zmiany
wylały mi się łzy
kiedy odszedłeś

to wtedy stałam się dorosła
(mój ojciec dotożył miarkę)

choć, by zrozumieć ciebie
zabraknie mi życia,
nie wiedziałam, że mądrość
tak boli
i musi być smutna

czytam ciebie,
Panie Herbercie
z każdym wierszem
coraz mniejsza się staję
szukanie nie ma końca

pomóż mi
wyprostować zakręty
mam w środku nieład

codziennie dotykam
świata który jest twój
zgnębiona jego nieskończonością

ubolewasz nad marną śmiercią Kanta
dywagujesz o Klaudiuszu
cyniczny jesteś wobec Marsjasza
chyba kpisz z Apollina
znasz Isadorę Duncan
wywołujesz Spinozę ze snu

stałeś się Tajemnicą

czytam cię wprost
odwołując się do desygnatów
w rzeczywistości

ty szczerze ukrywasz się
między wierszami
pulsujesz zimną obojętnością
panoszysz się w moim życiu

zaprosz mnie,
panie Herbercie,
na wędrówkę
po Istocie Rzeczy

*

na początku było Słowo
ale nie stało się Ciałem
krążyło między nami

zbyt długo
objęło się o nas

i
znużone
rozpadło się na
nieznaczące fonemy
wbrew tradycji

poświęciłam wiele
by nadać mu
formę

wciąż brakuje mi cząstki
by skleić
istotę

więc już nie szukam
oderwanych dźwięków

w milczeniu też jest sens

zaprawdę powiadam
milczenie ciałem się stało
ignorując tradycję

Jerzy Hajduga

Dłużej nam

Za oknami pociągu nie zatrzymuje się noc, nie zatrzymuje się pociąg. Konduktor przed chwilą sprawdził bilet. Wszystko się zgadza, to ten pociąg, to ta noc. Jeszcze raz wstaję i siadam, by się upewnić, że to dzieje się naprawdę, że to może się dzieć

na swój widok
oczy zamykamy

tak po prostu
dłużej nam

do siebie

Plecak ewakuacyjny

Spakowany? Nawet nie zapytasz, a ja już sam nie wiem, co jeszcze włożyć do plecaka. Nagle but się pojawił, taki jeden but, a gdzie drugi. Nie szukam drugiego

odkąd zamilkłeś
aż chce się przyłożyć
ucho do ściany

załapać na szept

ze sobą

Winniczek winny spaceru

W domach psy i koty. A co z innymi stworzeniami domowymi, które chowają się pod szafą i pod łóżkiem, na kredensie i pod kredensem, w akwariu i w stoiku? Taki na przykład winniczek, ten popularny ślimak również zajmuje ważne miejsce w domu staruszka i dobrze się czuje. Zdąży do drugiego kąta pokoju przez cały dzień, od świtu do zmierzchu, towarzyszy staruszkowi, a nawet go wyprzedza. Na szczęście pokój nie jest duży, dosłownie kłitka. Nazajutrz winniczek stąpa z powrotem. I to dokładnie w kierunku miejsca, z którego wczoraj wystartował.

Tym razem sam, więc też postanowił odpocząć i nabrać tempa do kolejnego spaceru

nocą sam leżę i słucham
ale nie ma nocy
nie jestem sam

Edyta Plucińska

Dialog wewnętrzny
Rozwijam jak eksperyment
Odważnie

Gubię ornament
W skazy

Spowalniam krok
Akceptuję brud

Z drogi

#wskazy

nakazy/zakazy
kary/nagrody
winien/ma
posłuszny/cham
deficyty/normy
jaki/jaka

drogowskazy
to droga
w skazy

wybieram własną

29.06.2024

#krok

siedmioletni
w bucie
z bólu żalu i poczucia winy

przekraczałam góry lasy
i siebie
rodziłam i karmiłam
obcych

dziś stoję z pytaniem
czy chcesz

wspólnego kroku

22.07.2024



Tomasz Walczak

Na odpuszczenie

Filipowi Otto

szczęście przez jedną noc
rozstania bywają takie banalne
celebруем każdą sekundę bliskości
pewnie nieprędko zdarzy się
podobna wyjątkowość spotkania
znaczyło wszystko co podobne
w nas
płomień bliźniaczych myśli dawał nadzieję
na znacznie więcej

byłeś ozdobą tego szczególnego poranka
później pękło serce na wieść o kłamstwie
i nic się nie stało
słońce świeci jak gdyby nic
gdzieś płacze niemowlę ktoś kupuje zegarek
tylko moje oczy jak oślepiały patrzę
nie wierzą że tak można
tylko drogowskazy samotnie zamazane szminką

Gorzów, czerwiec 2024



dzieli nas tylko blask
księżycy
kotyszącego gniazda
ku nowemu
ptaki podziękują
swymi trelami

na długość cienia
wszystkie
wspomnienia tego co
było
pomiędzy nocą i

dniem
w poranku jest
nadzieja
na znacznie więcej

wreszcie wiesz jak to jest
gdy ktoś najważniejszy
nagle milknie zrywa
kontakt
wreszcie czujesz
pustkę
smutek wypełnia
wszystkie dni
szczęście uleciało
gdzieś
sptoszonymi motylami

wreszcie tylko co z tego
mapa serca daleka od
drogowskazów
zdarzeń

Drezdenko, lipiec 2024

ŚMIEJ SIĘ DLA ŚWITEZIANKI

Magdalena Kubacka

Falujący i śliski od deszczu grunt osuwał się spod jego stóp. Był staby i głodny, a lepka, czarna ziemia chwiała jego nogami i nie pozwalała ruszyć do przodu.

Jednak trzeba było iść dalej. Musiał jeszcze tylko przedostać się przez puszcę, a potem... potem już tylko Jezioro. Potem już tylko wythnienie.

Spojrzał w górę. Szare, deszczowe chmury gnały przed siebie, w pośpiechu robiąc miejsce dla chłodnego słońca poranka.

Nie miał pojęcia, jak długo już szedł. Uptywające dni były tylko konceptem. Niebem zmieniającym kolory, jednostajną temperaturą lata, skupiskiem drzew szumiących wciąż tak samo, bujnymi koronami zastaniającymi słońce.

Przedzierał się przez miękkie mchy i wilgotne trawy, w rękach ściskając zawiniętą w pstrokatą chustkę niewielką książkę. Chronił ją przed wilgocią rosy, ośłaniał przed błotem, nawet przed brudem własnego ubrania. Była jego skarbem, jedyną pamiątką po domu. Mała, pomięta książeczka stała się jego pocieszeniem w długiej wędrówce, gdy zmęczony siadał, gdziekolwiek się dało i próbował zapomnieć o rzeczywistości.

Bolały go stopy, od samego początku bose i od dłuższego czasu zakrwawione. Brudne od piachu. Bolały go ramiona od przedzierania się przez krzaki, bolały dłonie zmęczone rozrywaniem kłaczy. Bolały go oczy od urywanego płaczu; bolało go serce. Płonęło mu serce. Żar trawił go od środka tak, jak wcześniej trawił jego dom. Jego dobytek, jego miłość największą i najświętszą, co to ledwie dwie niedziele wcześniej wnosił na rękach piękną i uśmiechniętą.

Skąd się wziął żarłoczny ogień w jego domu? Czy rozniecił go przyjaciel, któremu ukradł ukochaną? Czy był to niedopatek papierosa, który zostawił przed wyjściem do pracy, a może jednak niedogaszona w kuchni zapałka? Czy może jednak ten straszny piorun, który wystraszył całą wieś? Grzmot, który wydobył się z wnętrza ziemi, gdy właśnie wybierał się w drogę do domu. Grzmot, który wciąż dudnił mu w uszach, gdy wpadła na niego stara Mikołajowa, płacząc, ciągnąc go za brudny od roboty rękaw. Grzmot zapowiadający deszcz, który nadszedł zbyt późno.

Z nabożnością cerkiewnej babuszki całującej święte ikony odwijał delikatny materiał, drżącą od zimna i wycieńczenia dłonią przesuwając po czarnych literach wytłoczonych na niegdyś białej, teraz jednak pożółkłej okładce niewielkiej książeczki. Choć przed oczami ciągle miał mroczki albo dziwne, wielokolorowe plamki od ciągłego patrzenia w słońce, kierowany jakimś wewnętrznym rozkazem, raz po raz czytał prawie na pamięć znane już wersy.

Teraz też, choć był już tak blisko, przystanął na moment i usiadłszy na trawie, otworzył broszurkę na przypadkowej stronie. To nie jej treść była istotna, lecz wskazówki, które w sobie kryła.

Jeziro – cel i powód jego wędrówki – zdawało się wołać go słodkim, melodyjnym głosem rusatek. Słyszał ich głos, gdy czytał, a także, gdy o czytaniu jedynie myślał – nocą i dniem, o zmierzchu i o poranku. Płynął ze słów, śpiewał zza drzew, czasem jak cicha kotysanka wędrował mu po głowie. Wskazywał drogę i kazał iść dalej.

Wiedział, jak niebezpieczny jest ten głos. Znał stare opowieści o dziewicach znad Świtezi, przekazywane sobie z ust do ust w cieniu drzew w trakcie polowania, podczas zbierania ziemniaków na polu, w trakcie wspólnie obchodzonych świąt. Wyczytał je także z Mickiewicza, który, podobnie jak on, musiał wdychać stare legendy razem z dymem unoszącym się znad ogniska.

Znał Panią Jeziora i był pewien, że to ona przyzywa go zza gęstego boru tylko po to, by go zabić. Wcześniej ignorował to wołanie, ale teraz, gdy stracił dom, cały swój majątek i najbliższą mu osobę, gdy życie już zupełnie straciło dla niego sens... nie miał już nic przeciwko.

Więc szedł, powłócząc nogami, pod zdartymi podeszwami czując tętniące ciepło ziemi i wyczekując momentu, w którym padnie w wilgotne ramiona topielicy. Wędrował, żywiąc się po drodze tym, czym obdarzy go las – garścią malin, jagód i jeżyn. Spał tam, gdzie mech wydawał się najbardziej miękkim. Gasił pragnienie, gdy tylko w pobliżu pojawiło się jakieś źródło.

Aż w końcu dotarł na miejsce. Wielkie, owalne jezioro ukryte w samym środku puszczy przytłaczało go swoim majestatem i przyprowadziło o dreszcze.

Powoli, chwiejnym krokiem ruszył w kierunku piaszczystego brzegu, gotowy na wszystko, co miało się za moment wydarzyć.

Tęskny, rzewny głos rusatki był już teraz wyraźny i głośny, otaczał go zewsząd – dudnił we wnętrzu ziemi, świszczał w wietrze, szumiął między gałęziami drzew. Jak krzyk wydostawał się z ciemnego błękitu czystej wody. Głos tak piękny, że z zachwytu kręciło mu się w głowie.

– Jestem – szeptał sam do siebie jak szalenciec, z dzikim, obłąkańczym uśmiechem na poszarzałej twarzy – jestem, jestem, jestem.

Rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie stał kamień z jednej strony częściowo pomalowany na zielono. Białą farbą ktoś napisał na nim fragment *Świtezianki* w języku białoruskim. Wiedział, że podobnych głazów w okolicy jest jeszcze kilka, opowiadała mu o tym kiedyś matka, ale on nie miał ochoty ich teraz szukać. Biedna matula, całe życie próbowała chronić go przed zwodniczym śpiewem rusatki. Zamykała go w stodole, przywiązywała do krzesła, chodziła do mądrej baby i zamawiała uroki. I wszystko po to, by przy pierwszej większej tragedii poddał się i odpowiedział na niecierpliwie wołanie wodnej boginki.

Naprzeciw niego, na solidnych, drewnianych nogach stał pomost, z obu stron otoczony metalowymi, jasnoniebieskimi barierkami i zakończony okrągłym tarasem w odcieniu nieco ciemniejszego błękitu. Pomost kusił obietnicą

odpoczynku, jednak jego uwagę przykuło znajdujące się po jego lewej stronie samotne drzewo. Duża, wspaniała brzoza zdawała się trwać w wiecznym ukłonie, oddawać hołd swojej królowej.

Ruszył w tamtym kierunku i nagle poczuł, jak trzymana wciąż w rękach książka, kierowana jakąś niewidzialną siłą, ciągnie go ku wodzie.

W pośpiechu wbiegł do jeziora.

Straszliwe zimno przeszło jego ciało i... ustąpiło tak nagle, jak zamilkł nieziemsko cudowny, kobiecy śpiew.

– Długo kazałeś na siebie czekać... – usłyszał zza pleców delikatny, kobiecy głos. Ten sam, który jeszcze przed chwilą mu śpiewał.

Podskoczył, wystraszony. Chciał się obrócić, spojrzeć na właścicielkę cudownego głosu, który nęcił go za pomocą małego przedmiotu, wciąż ściskanego w dłoni jak przeklętą relikwię. Ostrzegawcze syknięcie sprawiło, że zamarł wpół kroku.

Westchnął, zrozumiałwszy, że niegodzien jest patrzeć na Świteziankę. Nie dane mu będzie spojrzeć w oczy demonicy. Jeszcze nie teraz.

Może później pozwoli mu się pocałować? Tak bardzo chciał jeszcze raz, przed śmiercią, poczuć znajome, delikatne ciepło rozgrzanych ust na sobie...

– Mowę ci odebrało, głupcze?

– Wybacz, pani, moja wioska jest daleko... Szedłem...

Przerwała mu, zniecierpliwiona. Jej głos brzmiał miękko i lekko, jakby ktoś kładł na jego skórze ogromne plastry miodu. Musiał napiąć wszystkie mięśnie, żeby nie zwrócić się w jej stronę. Ból całego ciała był już tylko cieniem, który schował się gdzieś głęboko w pamięci.

– Nie o tym mówię, mój piękny chłopcze – znów ten piękny, słodki głos sprawiał, że ledwie miał siłę ustać na nogach. Pragnął roztopić się w jego ciepłe, chciał już na zawsze pozostać jej głupim, pięknym chłopcem.

– Ale...

Znów nie pozwoliła mu się odezwać. Miał milczeć. Słuchać. Może gdzieś na końcu czeka go nagroda. Jeśli będzie postusznym, pięknym chłopcem.

Zamknął oczy i pozwolił ruszać kontynuować.

– Od ośmiu lat, od dnia, w którym stałeś się pełnoletni, wołam cię do siebie – irytacja w jej głosie wzbierała i zanikała, jak wzburzona woda uderzająca o brzeg jeziora. – Osiem długich, nudyh lat śmiałeś mi się opierać.

– Ja...

– Nie tłumacz się – zimne, mokre dłonie kobiety spoczęły na jego żebrach. Zerknął na nie kątem oka – były ładne, smukłe i brunatne, jak tylko potrafi być ziemia. – Wołałeś korzystać z życia, bawić się, kochać... ale widzisz, wybrałam cię, gdy byłeś jeszcze w łonie matki, która przyjechała tu razem z twoim ojcem. Specjalnie dla ciebie zaklęłam te głupiotkie wierszyki, które czytała nad moim jeziorem, by części mojej duszy mogła być zawsze przy tobie; by ciągle, nieustannie do ciebie

wołała. Żebyś w odpowiednim momencie w końcu stał się mój! – ton Świtezianki nie brzmiał już delikatnie i słodko jak na początku, zdradzał teraz długo pielęgnowaną wściekłość. Wystraszył się trochę, wciąż jednak pragnął jej dotknąć. Chciał paść do jej stóp, by mogła przebaczyć mu winy i pobłogosławić pocałunkiem.

– Wybrałaś mnie, pani, a ja do ciebie przyszedłem.

– Miałeś służyć mi na wieki! Miałeś zostać małżonkiem Świtezianki! Nie tej wstrętnej, wiejskiej dziewczyny, za którą chodziłeś całe lato. Jakbym nie próbowała przyprowadzić cię tu każdej nocy! Jakbyś udawał, że nie słyszysz mojego śpiewu.

– Słyszałem, pani, on zawsze był we mnie. Żywy. Jak wątroba, nerka czy serce.

– Mimo tego byłeś niepostuszny, wołałeś ignorować mnie, śmiać się i żyć z kimś innym. Chociaż twoja matka mi ciebie obiecała! Powiedziała, że odda mi ciebie, jeśli... – urwała w połowie zdania, po czym przyłgnęła do jego pleców. Czuł na sobie lepkość jej ciała, okropny chłód stworzenia, w którym nie płynie już krew. Nie wiedział, czy bardziej chciał od niej uciec, czy sprawić, że rozgrzeje się ciepłem jego ciała. Najbardziej jednak potrzebował wiedzieć, dlaczego został jej przyobiecany.

– Moja matka – zaczął niepewnie i słabo, ale to wystarczyło.

– Niewdzięczna dziwka. Jak tak obrzydliwe łono mogło wypluć tak śliczne chłoptię... – rusatka złagodniała nagle, przykładając zimne palce do jego policzka. – Zabiłam dla niej tego starucha, jej ojca, bo sprzeciwiał się jej związkowi, a ona tak mi się odwdzięcza! Osiem lat! Tyle czasu musiałam tracić siły na wołanie mojego chłopca! Mojego! Obiecanego!

Przywołał myślami obraz matki, zawsze szorstkiej i nagle obcej. Może wcale nie powstrzymywała go przed odejściem, może po prostu nienawidziła go tak, jak ojca, który bił ją i gwałcił za każdym razem, gdy przegrywał w karty i zaglądał do butelki. Może mściła się na rusatce, jego cudownej, najdroższej boginice, za to, że spełniła jej prośbę i skazała ją na taki los. Jak mogła zranić go tak mocno? Kazała mu cierpieć, zakochiwać się w innej tylko po to, żeby pożarł ją ogień! Żeby oszalały z rozpaczycy rzucił się w płomień, żeby zginął i nie dał się spełnić przyrzeczeniu. Ale dotarł do wioski razem z deszczem, a w płomieniach, w rękach najświętszej żony jaśniało jego przeznaczenie. Książeczka przeklęta przez cierpliwą panią, pieśń prowadząca go do Jeziora. Do miłości czarnej jak jej skóra i grzesznej jak dotyk dłoni na jego piersi. Do przyrzeczonej. Przeznaczonej.

Jeszcze raz spojrzął na brzozę zgiętą w wiecznym ukłonie. Jej małe listki dotykały wody, przypominając mu o nieuchronnej śmierci.

– Pani... – szepnął. Łzy szczyptały jego oczy – Pani...

– Chodź za mną, drogi chłopcze – Zamknij oczy i chodź. Nie musisz się bać. Nie musisz płakać.

Drżącą dłońią otarł łzę z policzka. Uspokoił serce, oddalił z głowy obraz pożogi. Woda powoli opłatała mu nogi, miękka, zimna dłoń prowadziła go coraz

głębiej. Białe kwiaty lobelii łaskotały mu ramiona i szyję, ich delikatny i miły zapach sprawiał, że czuł się spokojny i lekki.

Świtezianka przystanęła i przez chwilę myślała, że tonie. Wystarczyło jednak, że przyciągnęła go do siebie i ucałowała jego czoło, że lekko dotknęła bladego policzka – znów mógł oddychać, mógłby nawet zacząć z nią tańczyć. Gdyby tylko poprosiła. Niech poprosi, a będzie z nią tańczył na środku jeziora.

– Powiedz, kochany, masz ty łaskotki?

– Mam.

– A więc od teraz będziesz się śmiać.

– Chcę – powiedział, zanim woda wdarta mu się do ust.

Właśnie po to przyszedł. Po karę. Po wyzwolenie od smutku. Po śmierć.

– Zatem się śmieję. Ja będę ci śpiewać, a ty po prostu się śmieję.

Długie, ostre paznokcie wbiły się w jego żebra.

Nie czuł bólu ani wtedy, ani potem, gdy pozbawiony sił znalazł się pod wodą.

Oczarowany prześliczną piosenką, bezustannie łaskotany, tak długo, jak starczyło mu życia, śmiał się dla Świtezianki.



IDĘ**Łucja Fice**

IDĘ

Nie ma we mnie potrzeby smutku gdy spoglądam na drogowskaz
Jest kierunek i nic więcej

IDĘ

w słomkowym kapeluszu i nie żalę się
Na moim rękawie podróżuje pająk Pod butem ślimaczy się żuk
Po linii szwu wędruje paż królowej

IDĘ

Widzę dwa bławatki w oczach starej kobiety Siedzi samotnie przed domem
I nie wie jak wypłatać się z młodzieńczej miłości
Słońce zastyga a chwile coraz bardziej leniwe
Coraz trudniej odplatać myśl od myśli
Anielę się w dźwiękach deszczu

IDĘ

Jak po płaskim lustrze za sobą drogowskaz
Rozcinać będę sny upalne
Nie zabierajcie mi tchu pogaszone światła
Przejsć muszę drogę przez siebie nieprzebytą
Z klepsydry czasu ziarenka nie oddam

IDĘ



Aneta Gzińska-Hwozdyk

Człowiek

Naiwnie uśmiechnięty leciał na skrzydłach do nowych celów.

Na progu zostawił bagaż – bo za ciężki.
Drzwi przytrzasnęły mu jedno skrzydło,
ale jeszcze leciał.
Dopadło go dwóch takich,
co ukradli drugie skrzydło.

Teraz szedł,
ale wciąż wyprostowany,
ale wciąż przed siebie...

Wtedy podstawili mu nogę –
Upadł, zdzierając z twarzy
skórę wraz z uśmiechem.

Prosił o stare cele,
szukał dawnych,
wierzył w powroty,
miał zdolność wspomniania
i nieszczęście wspomnień.

Aż wreszcie zjawił się Człowiek.

Zatamował krew z pękniętego serca.
Wiadro też wylał na jałową duszę.
Pokazał, jak z pięści zrobić różę.
A twarzy przywrócił uśmiech,
Zszywając ją w małe słońeczka
i niebo z jedną gwiazdką nadziei.
Przywrócił mu skrzydła marzeń
i głęboką wiarę.

Gdy wyruszył na nowych skrzydłach
do nowych celów,
jego życie tętniło
nowym życiem...

Dostałem nowe życie

Dostałem nowe życie –
z czyjeś starego pocziwego serca,
Które przestało bić...

We mnie zabiło na nowo –
odmierzając czas liczbą uderzeń,
Które wyznaczają rytm...

Stare serce –
wniosło w nowe życie wspomnienia,
Które nie są moje....

Czekałem na serce –
ale bez bagażu cudzych doświadczeń,
Z którymi muszę się mierzyć...

Moje nowe życie –
opowiada wciąż historie,
Które ktoś napisał...

Czy to stare czyjeś serce –
zaakceptuje mnie – nowego,
Który je potrzebuje do życia?

Czy razem staniemy się kiedyś
autorami jakiejś historii,
Którą będzie nam dane wspólnie przeżyć?

ROZMOWA

Gabriela Rodak

Znużenie przytłacza. Ciężkie pobudki, cięższe dni, najcięższa melancholia. Ociężałe przechodzę z jednego etapu dnia do drugiego, uciemiona rutyną, wymęczona prokrastynacją. Chochoł prowadzi mnie w ospałym tańcu, słotnianymi łodygami zastania perspektywy, usypia wiarę w siebie i w moje zdolności. Toczę się więc dalej, wypruta z nadziei, że do czegoś się nadaję, że po coś tu jestem. Beznamiętnie brnę przez bagno dnia codziennego, nie wierząc już w istnienie tej pasji i potencjału, które kiedyś wibrowały w każdym moim ścięgnięciu.

Brzmi jak kryzys wieku średniego – o ile mit kobiet szybciej dojrzewających emocjonalnie wciąż jest żywotny, o tyle określenie „wiek średni” na skromne dwadzieścia jeden lat to lekka nadinterpretacja. Skąd więc ten dramatyzm, skąd ta niechęć i wielka, zionąca przepaść?

Minął kolejny dzień w pracy, którą, przyduszana jałowizną, niedostatecznie doceniam. Wielu rzeczy ostatnio nie doceniam – myślę, siedząc na ławce i zastanawiając się, czym zająć się przez kolejną godzinę oczekiwania na pociąg. Myślę też o moim ukochanym, który codziennie odbiera mnie z dworca, mimo że na pieszo do domu mam dziesięć minut i o tym, że w domu czeka na mnie ciepła kolacja, nakarmiony kot i mnóstwo czułości. Zrywam się więc z ławki i dotknięta wdzięcznością, ruszam do sklepu. W oddali malują się barwne zarysy kwiatów (marne finanse studentki raczej nie pozwalają na bukiety z kwiaciarni) i wzrokiem szukam już tego odpowiedniego, gdy zatrzymuje mnie głos.

– Przepraszam? – słyszę i odwracam się, spodziewając się brudnych ubrań, pomarszczonych rąk i prośby o kupienie butki. Przede mną stoi jednak młody, schludnie odziany mężczyzna. Z jego miny wyczytuję niepewność i wstyd. – Mam takie pytanie... Czy kupi mi pani butelkę wódki? – Moje oczy mimowolnie się rozszerzają, nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś mnie tak jawnie poprosił o alkohol. Nie trwamy długo w niezręcznej ciszy. Mężczyzna zaczyna tłumaczyć, że czuje się przytłoczony życiem i potrzebuje odreagować, ale nie ma pieniędzy. Za dobrze znam schemat wpadania w uzależnienie, by się na to zgodzić. Drzewo genealogiczne mojej rodziny nazbyt obficie obrosto w alkoholików i ich dzieci, bym nie dostała swojej porcji dysfunkcyjnych schematów. Ta spuścizna i moje serce nie pozwalają zostawić tego człowieka na pastwę bezlitosnego losu. W głowie rodzi się absurdalny pomysł – nie dam mu tego, co chce, ale to, czego potrzebuje. W palcach obracam szanse, jakie ma ta nietypowa propozycja w obliczu desperacji nieznanego. Stawiam na siedemdziesiąt procent, że mnie zwymyśla i podejrze do kogoś innego, dwadzieścia procent, że na mnie splunie i dziesięć, że się zgodzi. Dyskretnie wzdycham i ryzykuję.

– Mam inny pomysł. Może chciałby pan porozmawiać? Wiem, że taką potrzebę ciężko porzucić, ale zapijanie smutku to gra niewarta świeczki. Rozmowa potrafi wiele dać. Mam dużo czasu, jeszcze godzina do pociągu – obserwuję jego reakcję i, ku mojemu zdziwieniu, flegma nie łąduje na moim bucie, a facet posyła mi niewielki uśmiech i kiwa głową. Przyznaje mi rację i mówi, że faktycznie brakuje mu kogoś, z kim mógłby szczerze porozmawiać. Kierując się w stronę najbliższej ławki, przedstawiamy się i podajemy sobie dłonie. Nie będę używać jego prawdziwego imienia – nazwijmy go Piotrek. Opowiada trochę o swoim życiu, o powodach, dla których ciągnęło go dziś do wódki. Męczy się z poważniejszym uzależnieniem, które zniszczyło wiele relacji i innych aspektów jego życia. Zaczyna mówić o swoim dziecku. Matka małego nie pozwala im się widywać, ale oczy Piotrka błyszczą, a usta mimowolnie rozszerzają się w wielki uśmiech. Widzę w jego wyrazie twarzy, jak zatrzymuje się nad niektórymi wspomnieniami, już wyblakłymi, obraca je z każdej strony, próbuje wycisnąć z nich jeszcze trochę szczęścia. Opowiada o jednym z nich, w połowie słowa wybucha śmiechem, zaczyna inny wątek. Jego słowa nie składają się w nic sensownego, ale nie muszą – rozumiem wszystko, co chce mi przekazać. Staram się wplatać rady i taktyki między wątki, w każdym aspekcie jego życia szukam czegoś, co można przeinaczyć na mechanizm obronny. Tłumaczę, jak słabość zmienić w siłę, podpowiadam, czym zająć głowę, gdy nadchodzą złe myśli. Rozmawiamy o samotności w nałogu, o tym, że każdy odwraca się do ciebie plecami i nie masz kogo złapać za rękę, gdy toniesz. Poruszamy też wątek jego zainteresowań – to drugi moment, gdy widzę, jak budzi się w nim podekscytowanie, wcześniej drzemiące pod pierzyną utkaną z bagażu doświadczeń. Uwielbia aktywność fizyczną, ma własną, prowizoryczną siłownię na podwórku. Wymyślił nowy pomysł na spędzenie tego wieczoru – zamieni zatapianie smutków w alkoholu na trening. Odda się pasji, nie będzie porzucać wyrzeźbionych bicepsów na rzecz używek.

Czas płynie.

Wstajemy z ławki i kierujemy się w stronę sklepu. Wciąż zanurzeni w rozmowie, wspólnie wybieramy kwiaty dla mojego partnera.

– Te żółte. Od ciebie będą w sam raz, z takim kolorem mi się kojarzysz – słyszę i bez wahania chwytam za bukiet słonecznych różyczek. Płacę i wraz z Piotrkim wychodzimy z galerii. Odprowadza mnie na pociąg, po drodze mijamy jego koleżkę. „Piotrek i dziewczyna z bukietem róż” będzie nowym tematem na ustach jego znajomych, ale nie przejmujemy się tym, bo wiemy, że tak naprawdę to „Piotrek i dziewczyna z pomocną dłonią”. Do odjazdu pociągu zostało pięć minut. Mój towarzysz myślami jest już na swojej siłowni. Na odchodne dzielę się z nim fasolką i ogórkami od mamy – śmieję się, że rośliny strączkowe to ważny dodatek do posiłku potreningowego, ale tak naprawdę nie chcę, by szedł spać głodny.

Piotrek przytula mnie na pożegnanie i jeszcze raz dziękuje za to, że dałam mu szansę. Uśmiechnięty od ucha do ucha macha ręką i znika w peronowym przejściu podziemnym.

Wsiadam do pociągu i zastygam w rozważaniach. Nie łudzę się, że ta rozmowa diametralnie zmieni życie Piotрка – raczej tak się nie stanie. Ale na pewno odciągnęłam go od alkoholu na tę godzinę, może na całą noc, a może na pełny tydzień. Może mętna poświata mojej pulchnej mordki przybłąka się i nawiedzi jego pamięć, gdy będzie mierzył się z nieuniknionymi trudnościami. Pomogłam mu wybrać odmienną ścieżkę, przekierowałam go na inne tory mimo iskier lecących z szyn. Piotrek zapewne ma takie odczucia. Nie zdaje sobie jednak sprawy z jednej rzeczy – on też był moim drogowskazem. Na wyjąłowionej ziemi wykiełkowała nadzieja i wiara w siebie. Siedzę w domu i trzymam w rękach odpowiedź na wniosek o rezygnację ze studiów, który złożyłam trzy lata temu. Psychologia. Oddałam rację moim bliskim mówiącym, że się nie nadaję, że jestem zbyt emocjonalna i nie poradziłabym sobie w tak wymagającym zawodzie. Rośnie we mnie poczucie, że niestusznie się poddałam. Może faktycznie po coś tu jestem i wiedziałabym to, gdybym przestała zagłuszać przestanki mojego serca zbyt zracjonalizowanym dyskursem. Może nie tłumiłabym już siebie i swoich pasji, nie wstydziłabym się wyrażać siebie śpiewem, słowem i pędzlem jak niegdyś, w obawie, że ja i moja twórczość jesteśmy żałosne i niewystarczająco dobre. Może udałoby mi się porzucić ten beznadziejny stan przytłaczającej melancholii i poczuć tętno tego świata, tak dopasowane do mojego, a jednocześnie tak odmienne.

Mijamy się na mieście następnego dnia – on wraca do domu, ja idę na dworzec. Posyła mi szeroki uśmiech, a gdy zatrzymujemy się, opowiada o wczorajszym wieczorze i dzisiejszym dniu. Super trening, zero kropli alkoholu. Szczera i wzruszająca rozmowa z ważną dla niego osobą jako cegiełka dołożona do odbudowania zniszczonej relacji. Mówię mu, że jestem z niego dumna – wiem, jak rzadko ludzie to słyszą – i trzymam za niego kciuki. Jakiś czas później wchodzę do domu i wzdycham, wykończona dzisiejszym dniem. Wieczory są najgorsze – właśnie wtedy przykre myśli dokuczają najbardziej. Spoglądam jednak na żółte różyczki i przypominam sobie, że jestem czymś *yellow**, że jestem *yellow* dla niejednej osoby. I życie kłuje nieco mniej.

**to be someone's yellow* (być czymś żółtym) – w zagranicznym slangu internetowym termin ten oznacza kogoś, kto wspiera cię w trudnych momentach, to osoba, na którą możesz liczyć i która zawsze poprawi ci humor. Twoje światélko w tunelu. Znaczenie tego wyrażenia pochodzi z piosenki *Yellow* autorstwa zespołu Coldplay.

Monika Mitosz

Lacerta puella

wyewoluowałam
 autotomię
 przerażona
 pośpiesznym drżeniem
 zrzucam ogon
 przeczekuję ciszą w kącie
 wyjdę
 jak znów odrośnie

Znaki skrzydlate

Rozpostartością
 Czarują dzień
 Kiedy ciemność – piórko
 Beznadziejność – piórko
 Rozanielają zmierzch
 Znowu uczyć się chodzić
 Nie całując podłogi
 Nowym krzykiem się rodzę
 W świeżą wiarę ubrana
 Jutro jednak jest jutro
 Wstań
 Obetrzyj kolana

Terapia szokowa

Stosujesz akupunkturę
 Słowem
 Nakłuwasz najwrażliwsza miejsca
 Kiedy płaczę
 Mówisz że musi boleć
 Nie wiedziałam
 Że potrafiśz tak cudownie
 Uleczać

Wczoraj lato

wczoraj jeszcze lato
 gorąco i duszno
 dziś
 bez jesieni
 bez czasu na zmianę butów
 w letnich trampkach
 odeszło spojrzenie
 w przeciwną stronę
 w okowach mrozu
 ból po sercu skroplony
 zawisnął soplem
 drży
 wiosny spragniony

DROGOWSKAZY

Aneta Długołęcka

w kącie

samotny
 skulony w kącie
 przygniotłeś się ciężarem dni
 ogarnąć dzisiejszy świat jest ciężko
 smuga światła kusi
 tak nie tak nie
 wyliczanka w głowie
 tak
 wzrokiem skradasz się ku nowej szansie
 niepewny zamiarów
 które powoli układają się
 we wszystkich członkach
 ścierpnięty
 od długotrwałej relacji z podłogą
 skradasz się
 podjęte działanie uruchamia ból
 zapowiedź życia

bliskość

notoryczny brak
 uścisków dotyku
 powoduje nieodwracalne zmiany
 na co dzień nie dba
 o psychikę
 dobre samopoczucie
 w codziennym pędzie
 gubi ważne tematy
 z wyboru brakuje czasu
 na postój
 wśród bliskich serc
 nikt nie leczy samotności

psychoterapia

kiedyś unikała dotyku
 iskry buziaka
 ciepła przytulenia
 odskakiwała od ludzi
 jak oparzona
 bała się klatki emocji
 gdy ktoś schwycił jak ptaka
 gula w gardle dusiła
 gdy wyskoczyła z ust
 oczy opowiadały
 smutną historię

teraz taknie
 wyczekuje
 sumuje
 podobno
 „by przeżyć
 trzeba nam czterech uścisków dziennie
 by zachować zdrowie
 trzeba ośmiu uścisków dziennie
 by się rozwijać
 trzeba dwunastu uścisków dziennie” *

zlicza
 stara się
 przetrwać

* słowa psychoterapeutki Virginii Satir

własna bajka

chcę pisać własną
powoli dzień po dniu
zasmarować trochę miodem
trochę cytrynką
kilka kartek
nie od początku do końca
środek zawsze smakuje najlepiej
z zaskakującym zakończeniem
wciąż od nowa próbować nowe smaki
codziennie wiatr przynosi inny zapach
każdy świt przynosi nowe twarze
które zaglądają w moje okna
niepowtarzalne wspomnienia
nie lubią być porządkowane

poranny reset

pastelowy świt wpywa pod powieki
w jednostajnym rytmie pociągu
przedział petny
ciała w niewygodnych pozycjach
jęczą o litość
krótkie drzemki
ratują mózgi przed przegrzaniem
posklejane oczy obmywa
dienne światło
cel Warszawa Zachodnia

omen

zielone miasto
zalewa się łzami
dwie rzęsy
zbierają nadmiar
z przedniej szyby
czerwony olbrzym
przejechał na sygnale
to zły znak
na początek niedzieli

w promieniach

do szpitala jadę
wykrzyczała w petny przedział
i zażądała miejsca
średni wiek sphywał z twarzy
ręce dygotały w gęstym powietrzu
ale poprawiła włosy usta
światło poranka
głaskało zmęczone ciało
koito skórę przed cięciem
niecierpliwie szperano w torebce
wiózł dla niej powodzenie
porcelanowy stonik

PKS

smutek gości w dzisiejszych autobusach
cicho drzemią choć ciało petno
większość woli siedzieć z własnym cieniem
o ile żarówka świeci
rozmawia się tylko przez telefon fejsbuk
lub inny społecznościowy wynalazek
siedzący obok nie jest już adresatem
pytań odpowiedzi nawet monologu
nikogo obok nie interesuje
moja twarz - historia
czytanie zanika
jedna książka na autobus
obrazy jej następcą
komórkę ma każdy
więc tracą wzrok na podświetlanym ekranie
coś czytają? oglądają?
tylko ja piszę

EMPATIA CZY MIŁOŚĆ

Maria Borcz

Są uczucia, których nie należy oblekać w słowa, gdyż mówienie o nich jest profanacją.
(Mikołaj Gogol)

Empatia to nie tylko słowo, to sposób, w jaki łączymy się z innymi ludźmi. Okazywać empatię to trochę jak budować most, który pomaga nam przekroczyć granice własnego świata i zrozumieć uczucia drugiej osoby.¹

Empatia jest pomocna w komunikacji ogólnoludzkiej, w nawiązywaniu kontaktów, w rozwiązywaniu konfliktów, ale czy jest w stanie wyleczyć głębokie rany?

Rozważam ten problem, przyglądając się życiu Julity. Bohaterka moich wierszy utraciła wiarę w siebie i w drugiego człowieka. Nadto nicość egzystencji stała się powodem jej depresji. Potrzebuje człowieka, który ją zrozumie, pomoże, poda pomocną dłoń.

Na wylewne uczucia reaguje oporem. Mam wrażenie, że jest on spowodowany obawą o utratę autonomii. Za wszelką cenę chroni własną podmiotowość.

Julita zakwaterowała na dnie
nie posiada niczego
jedynie błota i kamieni w nadmiarze
nimi obrzuca wszystkich
by jej podać dłoń musisz się upaprać

niby *nieszczęścia temperują ludzi* *
Julity utemperować się nie da
jest jak ołówek z pokruszonym grafitem
ostrzysz i ostrzysz
sypią się trociny

(* Ezop)

jednak empatia uwodzi

odblaskami miłości
wrażliwością serca
wrozumiałością
Julita daje się zwieść

od teraz wspólnie
burzą mury

¹ <https://www.mywayclinic.online/blog/szczegóły/empatia>.

stawiają most
 niestety tylko zwodzony
 by zwodził
 że łączy
 jednak ruchome przęsto
 unosi się i unosi ponad

pomoc powinna zniżyć się do poziomu

empatia pozbawiona pokory
 przepoczwarza się

zdeformowana tanimi emocjami
 sptyca głębie

Czy człowiek może zrozumieć drugiego człowieka, skoro tak naprawdę do końca nie jest w stanie poznać samego siebie? Pomocna dłoń może być tylko wsparciem na jakiś czas, jednak nigdy nie zastąpi miłości.

Sądzę, że poza empatią potrzebna jest cierpliwość

empatia poszatkowana jak kapusta
 doprawiona słodyczą marchewki
 przygnieciona ciężarem czasu
 puściła sok
 wyptywa lawiną słów

erupcja tworzy gęstą atmosferę

Moja bohaterka już nie oczekuje takiej pomocy, tęskni za kimś, kto pokornie schyli się nad duchową ruiną i mimo wszystko pokocha.

Bóg nie stworzył niewolnika
 człowieka powołał do wolności

Julita skrępowana własną słabością
 podnosi się lecz upada

w okowach nie podota
 wspiąć się na tyle by odzyskać siebie

opuszczona przez ludzi
 poszukuje Boga

nie wyobraża sobie
 słodkiego jarzma i lekkiego brzemienia

rozstawia ból po kątach tak ciasno
że już nie ma miejsca nawet dla Niego

ucieka od siebie
tylko wtedy czuje się bezpieczna

wolna od wyrzutów
od dotkliwych pytań

jednak załamuje się
wpada w rozpacz

Znajomość Boga bez znajomości własnej nędzy rodzi pychę, znajomość własnej nędzy bez znajomości Boga rodzi rozpacz.

(Pascal)

Julita zaczyna się modlić

*Jak tania pragnie
wody ze strumieni,
tak dusza moja pragnie
Ciebie, Boże!*

(Psalm 42, 2-4)

Bóg zawsze daje się znaleźć tym, którzy Go szukają szczerze

Julita zdała sobie sprawę, że jej życie od zawsze było, jest i będzie własnością tylko Tego, kto ją stworzył. Stwórcy.

W Jego dłoniach czuje się bezpiecznie. Jest spełniona, z nadzieją patrzy w przyszłość. Wie, że jest kochana.

*Błogostawiony Pan, usłyszał bowiem głos mego błagania, Pan moją mocą i tarczą.
Moje serce Jemu zaufało: Doznałem pomocy, więc moje serce się cieszy i pieśnią
moją go sławię*

(Psalm 28)

O człowieczeństwie decyduje jego postawa wobec cierpienia.

Tu człowiek staje w bezpośredniej konfrontacji z faktem, że nie rozporządza sam swoim życiem, że jego własne życie nie jest jego własnością.

(Joseph Ratzinger, *ŚMIERĆ i ŻYCIE WIECZNE*)

Warszawa, 2000 r.

MOJE WEWNĘTRZNE PODRÓŻE

Łucja Fice

Śłońce stało w zenicie jak strażnik. Honorowo nie przepuszczało ani grama chłodu. Przysiadłam na trawniku jak wielu młodych, którzy akurat piknikowali. Poczułam moje stare dłonie, które zaplotłam na piersi, choć gdzieś wewnątrz siebie wciąż czułam się młoda. Uzmystowiłam sobie, że moje dłonie, choć tworzyły parę, trwały w samotności, z wolna zapominając o dotyku obcych dłoni.

Siedziałam tak sama, rozpalona w żarze letniego dnia, na zielonej polanie niemal w środku tego turystycznego miasta. Nagle poczułam strach objawiający się chłodem przesywającym ciało. Przyszło mi do głowy, że straciłam władanie nad ręką, że stała się obca, bo zdrętwiała i odczułam ją jak kawałek drewna, a do tego ten przesywający ból, co biegł prądem od karku przez całą rękę. To wylew, to zator w mózgu, to udar – skakały mi w myślach nazwy schorzeń, które dobrze pamiętam od swoich podopiecznych. Spojrzałam ponad horyzont ciągnących się w dali kolorowych kamienic. Dwa kilometry ode mnie był dom, w którym pomieszkiwałam. Postanowiłam szybko tam wrócić. Szłam chodnikiem, podziwiając odbudowane z wojennych ruin kamienice. Nie mogłam pozbyć się złudzenia o czasie przeszłym. Od seniora dowiedziałam się, że wojna zamieniła w ruinę tę część miasta na sam koniec wojny. Trwały tu ostatnie walki. Umiątałem w tamtej chwili sobie to wyobrazić. Dalej w tej wyobraźni zobaczyłam chłopaka, jak pali papierosa, dodając sobie animuszu dorosłości. Ten widok był tak realny, że słyszałam oddech podszyty jękiem. Zrobiłam się smutna. Przysiadłam na ławce obok młodych, roześmianych i żyjących w dobrobycie młodych Niemców. Kobieta z torebki na kolanach wyciągała małe czerwone grona i podjadała. Potyskiwały w słońcu. Byłam w tym mieście tylko gościem, odludkiem. Od upału i tego przewalającego się tłumem szybko tłoczona krew rozpałała mi twarz, a serce waliło. Młody chłopak siedzący obok obdarzył mnie chłodnym spojrzeniem. Wtedy przypomniało mi się podobne, chłodne spojrzenie mojej matki, kiedy zatroskana czekała na mnie późnym wieczorem, gdy spóźniona wracałam do domu. Wykrzykiwała i ganiła za późne powroty. Wtedy zawsze milczałam z zacisniętymi nerwowo wargami, oddychając szybko matą, młoda piersią. Roztaczała wtenczas wokół siebie ciężką aurę, sprawiając, że każdy mój krok był niczym zły uczynek, a każde wypowiedziane słowo odbijało się od tej aury i uderzało rykoszetem we mnie. Później nawet tego milczenia mi brakowało.

Taka wstuchana w siebie, przerzucająca slajdy przeszłości w głowie, nie zauważyłam, jak całe grono wypadło kobiecie z rąk, a ja ponownie ujrzałam w niej siebie w przeszłości: „Znów będą gadać, że włóczysz się wieczorami”, „Co ja takiego zrobiłam?” – pytałam i nic nie rozumiałam. Nagle umysł zawędrował do teraźniejszości i wszystko wróciło do normy.

Chłopak, co siedział obok, powiedział grzeczne do widzenia, a ja nagle zobaczyłam, że już ciemno i do domu daleko. Hol domu, w którym mieszkowałam, przywitał kolorowymi obrazami. Spojrzałam też w lustro, widząc w nim niby siebie, ale jakby na nowo, inną, w pełni własną, wolną, ale też samotną, obudzoną nie przez koszmary, lecz świadomość, że w tym domu jestem zupełnie sama, choć wokoło zawsze ludzie. Zegar tyknął swoją wolnością, a ja mrugnęłam powieką, gubiąc konkluzję – zegar pilnował swym tykaniem nie tylko czasu, ale i moich myśli. SAMOTNOŚĆ.

Zegar tyknął ponownie, a ja poszłam do swojego luksusowego apartamentu, w którym też miałam duże lustro. Spojrzałam w nie i właśnie wtedy dostrzegłam, że wszystko, co się dzieje w moim życiu, w tym na zewnątrz, to tylko czar, pozór, którego oblicze właśnie obnażyłam. Ujrzałam samotność we własnym spojrzeniu. To oblicze jest w moim wnętrzu, jądrze atomu każdej mojej komórki.

Odwrociłam więc głowę, by nie patrzeć, ponieważ gdzieś w tle, gdzieś przelotnie, zagościła mi myśl, że może zobaczę też swoją mamę. Patrzyłam w pustkę, wolna od ludzkich cieni, do których w tym domu już przywykłam.



DRZWI, KTÓRYCH NIE NALEŻY OTWIERAĆ

Mariusz Sobkowiak

Pamięci H. Sobkowiak (1956-2024)

– Nie chodźcie tam! – zakazywała nam mama, a ojciec był jeszcze bardziej zasadniczy, więc nieprzestrzeganie zakazu mogło się skończyć bliższym kontaktem z ojcowskim pasem. Mimo to chodziliśmy „tam”. A może właśnie dlatego chodziliśmy, że nam zabraniano. „Tam” – oznaczało pomieszczenie w głębi domu, które służyło za schowek, komórkę, przechowalnię gratów, rzeczy nieużywanych na co dzień, ale jeszcze zbyt cennych, by je wyrzucić. Pomieszczenie gospodarcze, nazywane też przez nas piwnicą, choć nie znajdowało się pod ziemią. Chodziło raczej o jego piwniczną aurę, brud, nagromadzenie śmieci i przenikający do szpiku kości chłód.

Chodziliśmy tam, bo tylko w tym miejscu można było pogadać z duchami.

Nazywaliśmy je *Ludźmi ze ścian*, bo tam właśnie żyły i tam najczęściej było słychać ich głosy. Nasze „seanse” początkowo wyglądały w ten sposób, że w trójkę, z siostrą i kuzynką, wchodziliśmy do zakazanego pokoju i wystukiwaliśmy coś w rodzaju kodu o przeciwną stronę drzwi drewnianą ścianą pomieszczenia. Nie zawsze, ale czasem „coś” odpukiwało. Stuki były różne, zwykle delikatne, podobne do naszych, ale często w odpowiedzi rozlegało się walenie w ścianę, a my przerażeni uciekaliśmy przed gniewem duchów, zapominając zamknąć drzwi do komórki. Tak rodzice dowiedzieli się o naszych eskapadach.

Pierwszą wskazówkę, spośród nielicznych zapamiętanych przeze mnie drogowskazów życiowych, jakie przekazali mi rodzice, dostałem właśnie wtedy. „Nie chodźcie tam!”. Nie mogę wejść, gdziekolwiek chcę, i robić wszystkiego, na co mam ochotę. Na przykład nawiedzane izby były zakazane. Im bardziej były zakazane, tym częściej i z większą ochotą tam chodziliśmy. Pamiętam, że nie zapalaliśmy światła, może po to, aby nikt nas nie nakrył, a może dlatego, że już wtedy wiedzieliśmy, iż duchy lubią przebywać w ciemności.

Któregoś razu podczas tych licznych „seansów”, zanim jeszcze zaczęliśmy stukać, usłyszeliśmy głosy. Dochodziły z wnętrza ściany. Ludzie ze ścian chcieli z nami rozmawiać. Przez chwilę w osłupieniu i z rosnącym przerażeniem słuchaliśmy niewyraźnych szeptów. Jedno z nas, być może byłem to ja (wspomnienia z tak dawnych lat są już niewyraźne), odważyło się zadać duchom pytanie. Jedno z tych pytań, które są znaczące, gdy ma się siedem, osiem lat i pozostają tak samo ważne, gdy stuknie nam lat pięćdziesiąt. Pytanie z gatunku tych, których nie wstydzimy się zadać tylko, gdy nie widzimy naszego rozmówcy. Jedno z tych, których nie wypowiadamy przez całe życie, aż w końcu jest już za późno. Coś

o naszych rodzicach, o miłości, o tym, co zrobić, aby na nią zasłużyć. Pamiętam dobrze, jak szepty urwały się, gdy padło pytanie. Pamiętam ciszę, jaka zapadła, ciszę oczekiwania na odpowiedź od *Ludzi ze ścian*. Cała nasza trójka przyłożyła uszy do drewnianych desek, nerwowo starając się wyłowić każdy szmer i ukryty w nich przekaz z Drugiej Strony. Czas, zdaje się, stanął wtedy w miejscu.

Warkliwy krzyk zza ściany, który nagle przerwał ciszę, był jedną z najbardziej przerażających rzeczy w moim życiu. Nie ma co ukrywać faktu, że niejedno z nas zmoczyło wtedy spodnie. Potykając się w ciemnościach o meble, porozrzucane w pomieszczeniu graty i o siebie samych, staraliśmy się, krzycząc, dostać do zamkniętych drzwi. Pamiętam, że odepchnięty przez kogoś upadłem na chłodną, betonową posadzkę. Pamiętam, że moja siostra wraz z kuzynką dobiegły już do drzwi i uciekły przed siebie, wrzeszcząc donośnie. Pamiętam, że gdy wybiegły, trzasnęły drzwiami komórki, pozostawiając mnie w ciemnościach. Pamiętam, że byłem przekonany, iż za chwilę umrę, a tam, gdzie walczy się o swoje życie, nie ma zbyt wielu bohaterów.

Leżałem w ciemności i w absolutnej ciszy. Krzyki moich towarzyszek przestały już dobiegać do moich uszu. Najwyraźniej, ratując własne kilkuletnie życia, wybiegły z domu. W tej ciszy słyszałem jedynie czyjś oddech. Chciałem wierzyć, że jest to mój własny, ale zaprzeczyły temu odgłosy skrzypienia drewnianych ścian. Przeczyły temu kroki, które usłyszałem na betonowej posadzce. Kroki jakimś cudem odbijające się echem w tak małym pomieszczeniu. Leżałem na brzuchu jak sparaliżowany. Przekonany, że nic mi się nie stanie, jeśli się nie podniosę, jeśli się nie obejrzę, jeśli na nich nie spojrzę. Ludzie ze ścian szli po mnie.

Wiedziałem, że są źli. Po czasie różnie wspominaliśmy to, co ustyszeliśmy zza ściany, gdy zadałem duchom pytanie. Cała nasza trójka był jednak pewna, że *Ludzie ze ścian* warknęli do nas słowo „gnojki!”. Cokolwiek robili w naszych ścianach, najwyraźniej nie podobało im się nasze stukanie, a już tym bardziej podstuchiwanie. I ja miałem właśnie za to zapłacić. Leżałem bez tchu na zimnej podłodze. Słyszałem kroki, słyszałem skrzypienie desek, widziałem cienie. Czekalem na karę.

Kara nadeszła kilka godzin później, gdy rodzice znaleźli mnie na podłodze w schowku i powitali pasem. Moja siostra również nie uniknęła kary, co miało być, jak sądzę, kolejnym drogowskazem życiowym. Chodziło bodajże o solidarność rodzeństwa. Może i rodzice nie mówili nam wiele o świecie, o tym, jak żyć i jakich zasad przestrzegać, ale za to dawali nam sporo lekcji w praktyce.

Od tamtej pory drzwi do nawiedzonej izby zamknięto na kłódkę. I bez tego wiedzieliśmy, że już tam nie pójdziemy. Nie po tym, co przeżyliśmy.

Przez kilka następnych tygodni, gdy zbyt szybko wchodziliśmy do kuchni, trafialiśmy na rodziców szepczących do siebie i milknących na nasz widok. Wiedzieliśmy, że coś się szykuje. Wszystko wyjaśniło się kilka dni później.

– Chodź! Tylko cicho! – powiedziała do mnie bliźniaczka, najpierw kładąc palec na ustach, a potem machając dłonią, bym poszedł za nią. Naśladowując skradającą się siostrę, na palcach wszedłem do przedpokoju i schowałem się za ścianą. Dała mi znak głową, żebym ostrożnie wyjrzał na korytarz. To, co zobaczyłem, zdumięło mnie. Rodzice taszczyli wspólnie nieprzewiązane worki pełne ziemniaków, buraków, marchwi i innych warzyw i owoców, i zanosili je do nawiedzanej izby, postępując z wysiłku.

– Ale jabłka piękne, Jezu! – rzuciła mama i dodała – Będą się cieszyć, mówię ci!

W pewnym momencie z nieprzewiązanego worka wypadło jabłko i z głośnym stukotem potoczyło się w naszą stronę. Schowałem głowę i z bijącym sercem słuchałem, jak jedno z rodziców zbliża się w naszą stronę. Na podłogę przed nami padł rodzicielski cień. Był ogromny i rósł z każdą chwilą, gdy sylwetka się zbliżała. Zaciśnąłem powieki i niczym mantrę powtarzałem w głowie: „żeby nas nie znaleźli, żeby nas nie znaleźli!”. Słyszeliśmy, jak ktoś schyla się ze stękiem i po głosie poznaliśmy, że to ojciec. Potem nastąpiła cisza, która trwała całą wieczność, nim znowu usłyszeliśmy stęknięcie i szuranie nóg na podłodze. Cień zmniejszał się z każdym krokiem. Byliśmy bezpieczni. Czym prędzej opuściliśmy naszą kryjówkę i pobiegliśmy na podwórze, do wzniesionego z patyków i gałęzi schronienia, które, jak tysiące dzieciaków, nazwaliśmy „bazą”.

– Znoszą to dla *Ludzi ze ścian!* – zawyrokowała moja siostra.

– To pewnie przez nas... – dodałem. – Płacą za nas, żeby nie byli źli. Pamiętam, jacy wściekli byli wtedy, kiedy wiesz... – powróciłem na chwilę myślami do dnia, który spędziłem na podłodze komórki i poczułem dreszcze na przedramionach.

– Kto był wściekły? Ci ze ścian czy rodzice? – zapytała.

– Jedni i drudzy... – powiedziałem i oboje zamilkliśmy.

Kolejne dni upływały nam w strachu przed *Ludźmi* mieszkającymi w ścianach i przed rodzicami, którzy składali im dary i starali się trzymać nas od nich z daleka. Z miłości, żeby nas chronić, jak chcieliśmy wierzyć. Trwało to miesiącami, aż do dnia, gdy odkryliśmy Drzwi.

Nie bez powodu, gdy piszę o Drzwiach, to nawet w mojej głowie widzę je zapisywane wielką literą. Wszak były to jedyne drzwi, które miały znaczenie i gdy wymawialiśmy słowo „drzwi” bez żadnego wyjaśnienia, mogło chodzić tylko o nie, o żadne inne, o Drzwi. Zwyczaj z pozoru przedmiot stał się nazwą własną czegoś, co wzbudzało naszą fascynację i nabożny lęk jednocześnie. A zaczęło się niewinnie.

Pewnego razu przestała działać lodówka, która od lat nie stała jak w większości domów w kuchni, ale w korytarzu. Wszyscy razem pomagaliśmy ją wynieść, gdy wokół tworzyła się już ogromna kałuża. I właśnie wtedy naszym oczom ukazały się Drzwi, do tej pory skrętnie ukryte za pokazną chłodziarką. Zrozumieliśmy, dlaczego nie stała w kuchni, jak powinna.

– Co to jest? – zapytała moja siostra, z oczami jak spodki, wyciągając rękę w kierunku metalowej rączki Drzwi. Nie zdążyła nacisnąć, gdy jej dłoń złapała moja mama.

– Nie dotykaj! – wychrypiąta – Nigdy tam nie wchodźcie – niemalże zasyczała, a nam przypomniały się wszystkie razy, gdy tę samą wskazówkę dostawaliśmy odnośnie nawiedzanej izby. W ten sposób zrozumieliśmy, dokąd prowadzą Drzwi. *Ludzie ze ścian* mogli dostać się do naszego świata, ale my najwyraźniej też mogliśmy dostać się do nich.

Drzwi stały się moją obsesją. Nie pomnę, ile razy w nocy budziłem się z krzykiem, gdy otwierałem je we śnie i zobaczyłem, co jest po drugiej stronie. Nie pytajcie mnie o to, co widziałem, bo po przebudzeniu jedyną wyraźną rzeczą, jaką pamiętałem, były Drzwi. Nie mogłem obok nich przechodzić, więc większość czasu spędzałem poza domem. To jednak nie chroniło mnie przed myśleniem o Drzwiach. Moja siostra nie chciała nawet o nich rozmawiać. Wiedziałem, że w głębi duszy musiały przeżywać to samo, co ja. Napięcie związane z obecnością Drzwi było nie do wytrzymania i im dłużej ignorowaliśmy ich istnienie, tym bardziej rosły w naszych oczach i tym większego nabierały znaczenia. Mogłem zrobić tylko jedno i dobrze wiecie, co.

Pewnej nocy stoję więc w samej koszulce i majtkach przed Drzwiami. Wszyscy śpią, a przynajmniej modlą się o to w duchu. Wyciągam przed siebie drobną dłoń i dotykam zimną, metalową klamkę. Nie naciskam jej jeszcze, tylko badam palcami, jakbym sprawdzał, czy nie padnę trupem od samego dotyku. Nic się nie dzieje, więc lekko opieram ciężar ciała na rączce, żeby sprawdzić, czy po tylu latach, gdy Drzwi pozostawały zamknięte, można je w ogóle otworzyć. Niewielki nacisk wystarczył. Drzwi zaskrzyptały cicho i stanęły otworem. Zamknąłem oczy i zacisnąłem powieki, pomny nocnych koszmarów. Na twarzy czułem chłód bijący z pustej przestrzeni za Drzwiami. Bałem się spojrzeć, ale nie mogłem tak stać, musiałem choćby zamknąć drzwi, nawet jeśli nie odważę się zerknąć. Wziąłem głęboki oddech i otworzyłem oczy. Przede mną widziałem długi, ciemny korytarz. Drogę do świata *Ludzi ze ścian*. Wiedziałem, że jeszcze chwila, a zamknę Drzwi i ucieknę, wracając do nieznośnych dni wypętnionych napięciem i niepewnością. Zanim więc zdążyłem pomyśleć, zrobiłem krok naprzód i wszedłem w ciemność.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyłem światło na końcu tunelu. Poszedłem więc w stronę światła.

Światło płynęło z lampki stojącej na stoliku. Stolik stał na wypastowanej do połysku drewnianej podłodze. Oprócz stolika stał też zielony tapczan i dwa fotele tego samego koloru, a przed nimi telewizor. Na jednym z foteli siedział zaś mężczyzna i głośno chrapał. Mężczyzna był stary, gładko ogolony i z resztkami siwych włosów. Życie pośmiertne zdawało się przypominać doczesność i zdumiało mnie

to bardziej, niż gdybym wpadł na latające prześcieradła albo biegające szkielety. Zrobiłem krok do przodu i podłoga zaskrzypiała. Mężczyzna w fotelu obudził się i spojrzał prosto na mnie. W jego oczach zobaczyłem bezbrzeżne zdumienie. Otworzył usta w niemym pytaniu.

– Młody S. – powiedział w końcu, oczywiście używając mojego pełnego nazwiska, a potem zawołał donośnie, odwracając głowę – Kryśka! Kryśka! Chodź, zobaczysz!

Po chwili przybiegła do pokoju starsza kobieta. Była podobna do mężczyzny, poza tym, że jej włosy miały słomiany kolor poprzetykany pasmami siwizny.

– Jezu! – zawołała na mój widok – Jak ty tu wszedłeś?

Wyjaśniłem więc *Ludziom ze ścian*, jak tu wszedłem. Usadzili mnie wtedy na zielonej kanapie, a ja zadałem im kilka ważnych pytań o to miejsce i o to, co nas czeka po śmierci. Patrzyli tylko na mnie z tym wyrazem ciągnętego zdumienia. Zadałem im więc to ważne pytanie, wiecie, to o rodziców i o ich miłość, proszę o wskazanie mi drogi, o wyjawienie, co muszę zrobić. Powiedziałem, że na pewno wiedzą, że przecież tutaj już muszą wszystko wiedzieć, o nas też, skoro mieszkają w naszych ścianach.

Na wzmiankę o rodzicach kobieta uderzyła się dłonią w czoło i wyszła. Mężczyzna nie odpowiedział na moje pytania, tylko przeszedł od zdumienia do delikatnego uśmiechu, po czym stwierdził, że pewnie napiłbym się mleka i przyniósł mi pełną szklankę. Gadałem więc tak bez przerwy, popijając mlekiem, aż wróciła kobieta, a wraz z nią mój ojciec. Wziął mnie za rękę, przeprosił *Ludzi ze ścian* i poprowadził mnie w głąb ciemnego korytarza, tą samą drogą, którą przyszedłem.

Tej nocy, zanim nastął poranek, rodzice opowiedzieli kilkuletniemu dziecku, którym byłem niesamowite, niepojęte historie o tym, jak byli młodzi i przyjechali tutaj zaraz po tym, jak uciekli Niemcy. Nie wiedziałem, kim są ci Niemcy, ani dlaczego musieli uciekać, ale zostawili nam swój dom, co – trzeba przyznać – było dość miłe z ich strony. Powiedziałem, że może po prostu uciekli, bo nie chcieli mieszkać tutaj, gdzie są Drzwi i straszą duchy, więc wcale nie było to takie miłe, to pozostawienie nam domu, ale rodzice nie słuchali, tylko opowiadali dalej o tym, jak dokwaterowano im drugą rodzinę, więc koniec końców dom podzielili na dwa mieszkania, połączone Drzwiami zastawionymi na wieki lodówką. Opowiedzieli mi o odwiecznym konflikcie z mieszkającymi z nami ściana w ścianę sąsiadami. O dawnych zatargach – jeszcze z czasów, gdy nie było mnie na świecie i gdy rodzicom ze względu na dzieci trafiła się większa część domu. Dlatego z sąsiadami nie gadamy. Dlatego tam nie chodzimy. Najlepiej ich unikać, udawać, że nie istnieją. Jak duchy. Drewniana ściana w komórce oddziela zaś to pomieszczenie od pokoju sąsiadów, dlatego niedobrze jest tam chodzić i pukać im w ściany. Komórkę rodzice przerobili po jej zamknięciu na spiżarnię na owoce i warzywa i nadal mamy zakaz chodzenia tam.

Nic z tego nie rozumiałem. W każdym razie niewiele. Gdy nazajutrz opowiedziałem o tym siostrze, nie uwierzyła w ani jedno słowo. W naszych dziecięcych głowach obraz jakichś Niemców, którzy mieli nas wszystkich nienawidzić, a którzy jednak zostawili nam swoje domy, żeby uciekać przed jeszcze innymi ludźmi, którzy też nas nienawidzili, był dziwniejszy i bardziej skomplikowany od wizji duchów mieszkających w ścianach. Nawet przez jakiś czas rozważaliśmy z siostrą, czy rodzice najzwyczajniej w świecie nie próbują wręcać nam tych historii, by ukryć to, co już wiedzieliśmy. Że po drugiej stronie też jest życie i nie różni się znacząco od naszego.

* * *

Pamiętam, jak zaledwie tydzień temu leżałaś na szpitalnym łóżku. Pielęgniarki podawały ci fentanyl, najpierw pod policzki, a potem w zastrzykach i wlewach. Substancja określana przez media w histerycznych artykułach jako „narkotyk zombie” była jedynym, co dawało Ci siłę, by w dniach ostatnich nie płakać i nie krzyczeć. Siedziałem tam, trzymając Cię za rękę, nie mówiąc nic. Nie istniało nic mądrego, co mógłbym Ci powiedzieć. W rzeczywistości przez te ostatnie dni przychodziłem do Twojego łóżka jako petent. Licząc na ostatnie wskazówki, życiowe drogowskazy. Nie zostało wiele czasu, abyś powiedziała mi w końcu, po co żyjemy i co nas czeka po śmierci. Jak żyć, aby być szczęśliwym. Jak kochać, za czym podążać, co jest ważne. Jak zasłużyć na miłość. Czy zrobiłem wszystko jak należy (na pewno nie), czy byłem dobrym synem (pewnie nie). Tyle rzeczy chciałem usłyszeć od Ciebie, których nigdy nie usłyszę.

– Dajcie mi spokój! – tak brzmiały Twoje ostatnie słowa, które usłyszałem. W rzeczywistości powiedziałaś ostrzej, okrasiałaś to przekleństwem, którego jednak nie przytoczę. Miałaś już dość. Nie chciałaś, aby zmuszano Cię do jedzenia czy przewracania się na drugi bok. Ludzie mają prawo umrzeć, gdy życie staje się nie do wytrzymania. Gdy życie nabrzmiewa bólem. Gdy nie ma już niczego poza bólem. Jednak nasze państwo usilnie na to nie pozwala. Nawet, gdy nie ma już żadnej nadziei, nie mamy prawa do decydowania o swoim losie. Zmuszają nas do jedzenia bananowego musu i przewracania się z boku na bok, jakby to miało cokolwiek zmienić. Zmarłaś dwa dni później.

Kilka godzin przed pogrzebem przyjeżdżam do domu rodzinnego. Nie byłem tutaj od lat. Wiele się zmieniło. W spiżarni z czasów mojego dzieciństwa wybiliście ścianę, wstawiliście drzwi do pokoju. Stała się korytarzem. Drewnianą ściankę pokryliście gipsem, pomalowaliście. Przestała straszyc.

Podchodzę do miejsca, w które stukaliśmy, będąc dziećmi. Do miejsca, w którym zadałem „duchom” swoje pytanie. Kładę dłoń na ścianie, zostawiając tłuste ślady palców na niebieskiej farbie. Zbliżam twarz, oddechem niemalże tworząc mokre plamy na tynku, i zadaję to samo pytanie, co trzydzieści lat temu. Odpowiedz, proszę.

DROGOWSKAZY. KIERUNKI. PRZYGDNOŚĆ¹

Maciej J. Dudziak

Człowiek potrzebuje nazywać. Chcąc odegnać, a przynajmniej zatrzymać na dłuższy czas demony nieznanego, miejsca muszą być nazwane. Nienazwane nie istnieją lub istnieją w przestrzeni nieoswojonej, a te wtedy stają się obce. Obcy zaś to zagrożenie. Prostacka logika, ale działa.

Niemcy mieli potrzebę nazywania wszystkiego. Upamiętniania przez nazywanie również. Byli tu pierwsi. Oczywiście nie licząc Prastowian, co to Berlin założyli, a pierwszym historycznym władcą Polan był niepiśmienny Mieszko zupełnie nieświadomy, że kilkaset lat później zostanie opatrzony kryptonimem protoPolak („Królewski szczep piastowy”). Przez siedemset lat można oswoić się z przestrzenią, choć osvajanie nigdy nie będzie procesem zakończonym, wszak zawsze pojawiają się wędrowcy niosący ku zastygłym w pozornej osiadłości tubylcom nowy, świeży i ożywczy strumień myśli, słów i idei, które wpływają na zmianę. Fuzja genetyczna również robi swoje...

Wyrastałem w rzeczywistości miasta, które już za swoimi rogatkami było nieme i nieoswojone. W samej zaś tkance ulic, placów, skwerów nazwy były kalką przeklejaną z innych tego typu miejsc: militarne, mitogenne, obce i bez odniesienia do miejsca: Kosynierów, Świerczewskiego, Piastów, Warszawska, Janka Krasickiego. Z rzadka podejmowane próby złamania kolonialnej terminologii (Zaułek, Potok, Rybacka) zatapiały się w pompatycznych i nic nieznaczących dla miejsca nawiązań do Polski kontynentalnej.

Kiedy zmurszały erozją kolos socrealizmu zaliczył twarde lądowanie, rozbijając się na tysiące nieprzystających już do siebie części, nasze miasto – podobnie jak inne ich dawne nowomarchijskie siostry i bracia – jęło zapępniać się papieżami, marszałkami, biskupami, wszelakimi wyklętymi i mniej lub bardziej udanymi powstaniem, po raz kolejny nic mającymi z tutejszą przestrzenią.

Trochę mi to przypomina sytuację, gdy w co bardziej przejrzyste dni wśród wielkiego wyboru dwóch peerelowskich programów telewizyjnych zupełnie przypadkiem natrafić można było na raczkujący wówczas SAT1. Sygnał telewizyjny pochodził z nieodległego Berlina Zachodniego. Mimo że obraz był bez dźwięku, czarno-biały, szumiący i szeleszczący zakłóceniami pochodzącymi ze stacji zagłuszania, to siedziałem przed plastikowym pudłem telewizora radzieckiej marki Wiesna przywiezionego z Kołomyi i z lubością oddawałem się oglądaniu serialu *Star Trek*.

W mojej prywatnej molekule Translandii wszystko podlega reinterpretacji, a kulturowy abordaż Polski kontynentalnej jest tutaj tak intensywny, że aż niemy i zaśniężony lokalnością. Nic nieznaczący.

¹ Tekst jest fragmentem książki *Translandia*.

Kiedy w 1838 roku Karl Ferdinand von Empich przekazywał w testamencie swoje dobra w nowomarchijskim Stennewitz zarządcy dóbr Martinowi Gottliebowi Treichel, z całą pewnością nikt, nawet śmiało i katastroficznie myślący romantyk, nie był w stanie przewidzieć końca świata mającego wydarzyć się za nieco ponad sto lat. Treichel musiał być niezwykle obrotnym zarządcą, skoro von Empich postanowił przekazać właśnie jemu cały majątek. Treichel nacieszył się władnością jedynie przez dekadę, schodząc z tego świata w maju pomnego roku Wiosny Ludów 1848. Być może to właśnie marcowa rewolucja w Berlinie przyczyniła się do nagłego pogorszenia zdrowia.

Treichel pozostawił majątek synowi Karlowi Wilhelmowi Emilowi Rudolphowi, a ten, odkrywszy na stanowickich polach pokłady węgla brunatnego, szybko zaczął pomnażać majątek, zasilając niemal darmowym paliwem miejscową hutę. Złóża były na tyle zasobne, że w krótkim czasie stały się jednym z głównych źródeł dochodu Karla Wilhelma. Zaledwie w ciągu jednego sezonu węgiel z miejscowej kopalni stał się niemal powszechnym paliwem w lokalnych kuźniach, domach i zagrodach. Karl Wilhelm był zadowolony do tego stopnia, że karbonową odkrywkę ochrzcił nazwą Glück / Szczęście.

Majątek Treichela pęczniał, a zasobność kas pancernych stała się na tyle obfita, że w 1889 roku nabył od Eberharda von Bassewita sąsiedni majątek Liebenow / Lubno. Wszystko zostało w rodzinie, gdyż Liebenow otrzymał w zarządzanie syn Karla Wilhelma – Georg, który – gdy w 1898 roku ze świata zszedł Karl Wilhelm, przekazał majątek bratu, doktorowi praw Karlowi Wilhelmowi Viktorowi, sam zaś został panem na włościach Stennewitz. Pozycja Treichelów w okolicy rosła na tyle znacząco, że w 1913 Treichelowie otrzymali tytuł szlachecki. Być może nie pozostawało to bez związku z pobliskim sąsiedztwem leśnej wsi Massin / Mosina stanowiącej cesarskie dobra myśliwskie. Dniem, który wrył się w zbiorową pamięć mieszkańców Massin Walde, stał się 28 sierpnia 1889 roku, kiedy to z kilkudniową wizytą polował tu wraz ze swą cesarz Niemiec Wilhelm II. Nie był to zresztą jedyny tak wysokiego stanu Hohenzollern z Poczdamu. Massin Walde (Puszczy Mosińska) upodobał sobie również i Oskar von Preußen, syn ostatniego cesarza.

Zdjęcie wykonano 22 września 1907 roku w Mosinie. Rzesza wówczas kwitła. Kolonie w Azji i Afryce dostarczały bogactw, a Niemcy parli do wojny o dominację. 19-letni wówczas Oskar patrzył gdzieś w dal. Bez satysfakcji, nad trupem jelenia szóstaka. Oskar von Preußen niespełna siedem lat później z bezkompromisowej miłości popełnił rodzaj mezaliansu, żeniąc się z hrabiną Iną wielu imion (Marią Heleną Adelą Elizą) von Bassewitz,



której rodowe dobra (wszak to od Eberharda von Bassewita Treichelowie kupili majątek w Lubnie) sąsiadowały z Massin Walde.

Mniej więcej w połowie drogi między Lubnem a Mosiną leżą Sosny, które po niemiecku zalotnie nazywają się Charlottenhof. Majątek, od pierwszych dekad XIX wieku, aż do końca świata należał do rodziny von Klitzing. W czasach euforycznego nazizmu von Klitzingowie byli antynazistami – w przeciwieństwie do sąsiadów z Lubna i Stanowic, już von Treichelów. Ostatnimi niemieckimi właścicielami majątku byli Hans Karl Victor von Treichel oraz jego żona baronowa Celina Sara Kamila z domu Freiin von Mirbach. Małżeństwo od lat 30. XX wieku było zagorzałymi nazistami.

Interesy von Treichelów szły cały czas tak dobrze, że do zaprojektowania przebudowy pałacu zatrudniono Carla Johanna Bogislawa Lüdecke – znanego przede wszystkim na Dolnym Śląsku architekta pochodzącego ze Szczecina.

Celina Sara zafascynowana była działalnością Towarzystwa Thule – organizacji skrajnie rasistowskiej i przez niektórych historyków posądzonej o okultyzm. Po klęsce Niemiec w I wojnie światowej takie postawy nie należały do rzadkości. Celina pochodziła z Berlina, w którym szybko rozchodziły się nowe – powiedzmy – prądy i mody intelektualne.

Młody von Treichel wstąpił do SS, uzyskując niższy stopień oficerski, zaś cały majątek w testamencie jeszcze za życia oddał w administrację NSDAP.

Wiosną 1937 von Treichel za namową żony wyruszył na partyjny zjazd w Berlinie. Nie miał za bardzo ochoty, bo fatalnie się czuł. Problemy z brzuchem, jak się później okazało – śmiertelne. Jednak pod wpływem żony wyruszyli do stolicy, gdzie von Treichel trafił do szpitala. Pomoc okazała się jednak zbyt późna. Zwykła sprawa, nawet jak na tamte czasy, czyli zapalenie woreczka żółciowego, pozbawiła młodego von Treichela życia. Zaraz po zgonie, jego żona Celina z bólu i żalu – obwiniając samą siebie o śmierć męża – popełniła samobójstwo, skacząc z hotelowego balkonu...

W przypałacowym parku do dziś na płytach nagrobnych ozdobionych runami i swastykami widoczne są wyraźnie ich nazwiska: *Hans Carl Victor von Treichel (1895-1937)* oraz *Celina Sara Kamila dd Freiin von Mirbach-Treichel (1902-1937)*.

Treichelowie pozostawili trójkę dzieci: Gizelę Carmen (ur. 5.07.1925 w Lubnie), Marinę Celinę (ur. 5.09.1928 w Lubnie) oraz Hansa Adolfa (ur. 5.06.1932 w Lubnie). Osierocone dzieci zamieszkały z siostrą matki Maimi von Mirbach w Poczdamie. Maimi w czasie II wojny światowej pomagała Żydom, za co w 1981 roku Izrael nadał jej tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Kuzyn nazisty Hansa, Friedrich Karl von Treichel, właściciel Stanowic został zamordowany przez Rosjan 31 stycznia 1945 roku na schodach własnego pałacu, a jego żona wywieziona w głąb Związku Sowieckiego.

Koniec świata się ziścił. Początek świata się rozpoczął. A co teraz? Co dziś? Charlottenhof zapada się. Dookoła trzecie i czwarte pokolenie mieszkanki ekspatriantów, przypadkowych robotników rolnych z czasów PGR-ów, w Massin podobnie,

choć przy dworku myśliwskim Hohenzollernów posadowiono obelisk ku pamięci zamordowanych nieopodal lotników amerykańskich, którzy trafieni nad Berlinem postanowili przedostać się do sojuszników stojących już nad Odrą. Sowietci nie byli dla nich łaskawi. Pałac projektu Lüdeckiego nie istnieje. Pozostały fundamenty i ściany. Rodowa siedziba Treichelów w Stanowicach również sypie się, choć wokół działa namiastka lokalnej Doliny Krzemowej. Wszędzie widać napowietrzne wspólnoty alkoholowe pochylające się nad rytualnym grillem w rytm disco polo.

Jesień 45. roku przy Strasse Einz, Reichsstraße (od końca świata i świata początku droga z niewiele mówiącym numerem, bez nazwy) ciągnąca się z Berlina do Królewca oblepiata rozmyte kolorem dywany drzew rozwijające się na łagodnych zboczach Pradoliny. Liście drzew, ociekając krwistą rdzą, tworzyły sklepienia katedr, na których pooranych od morderstw i gwałtów pniach krzyżowano tabliczki z nowymi i dawnymi nazwami. Sezon jesienny był początkiem i końcem świata. Stary świat przeminął jak Imperium Rzymskie, a w jego miejsce pojawił się złęknieni, samotni, wyrwani ze spójnych lokalności. Zdarzali się i tacy, którzy nabyli umiejętności szybkiego, choć ryzykownego wzbogacenia się rabunkiem wszystkiego, co poniemieckie. Tacy z reguły, po wyeksploatowaniu terenów łowieckich, znikali natychmiast w głąb, do Polski kontynentalnej. Inni szukali tu lepszego życia przyciągani propagandą zasobnych gospodarstw, rybnych jezior i błękitnego nieba. Inni, ci najbardziej zwarci wspólnotowo, wyjścia nie mieli. Byli ekspatriowani. Szybko nastąpiła atomizacja. Ten w tę, a ten w tamtą. Obcość, kompleksy, dystans kulturowy. Odmienność od kontynentalnego wzorca. Akcent, słowa, wizja świata. Jeszcze innych przerażała i odstręczała wizja lasu, hylofobiczne lęki. Mimo niespiesznego rozwoju (coś się jadło i jakoś się żyło) czas przystanął na starej cmentarnej bramie w roku 1945. Landsberczanie fundowali pomnik Schleiermachera, a gorzowanie Szymona Giętego. W Translandii jest miejsce dla jednego i drugiego. Dziś skutkuje to samozadowoleniem kończącym się wraz z granicami miasta. Coś się zagra, coś napisze, coś naprodukuje: wszak jedni pisują, a drudzy czytują.

Lęki i strachy przekazywane gdzieś w foliowym pokrowcu między pierogiem a piwem nakazują rozkosz swojskością swojskością pozbawionej. Samotność na zielonej wyspie. Kompleksy i lęki obecne są do dziś. Miasto stołeczne mojej prywatnej Translandii operuje we własnej lidze. Jest w pełni szczęśliwe i syte kolejną wygraną z Bezludną Wyspą, ba! Z archipelagami Wysp Bezludnych. Wiwaty i salwy na część mistrzostwa świata Wysp Bezludnych. Uśmiechy, wrzaski, rozrywka podstawowa w dawnej nekropolii zmienionej w park.

Szul w zmitologizowanym Drohobyczu zauważył, że wraz z rozrostem przemysłu naftowego w samym mieście i okolicach rzeczywistość nabrąta trzeźwych form komercyjności, zrzucając w niebyt pokątne uliczki i senne place wypełnione zapachem cynamonu i gęsiego pierza.

W ostatnim czasie w stolecznym mieście naszej wyspiarskiej rzeczywistości rozgorzała na nowo dyskusja, czy miasto jest częścią kontynentalnej Polski, czy też przynależy sobie jedynie. Chirurgicznie rzecz ujmując, chodzi o amputację członu nazewniczego. Akcja cokolwiek nieefemeryczna i powracająca co jakiś czas odstoniła, jak płynna, doraźna. Nałożyła się na to kolejna faza ujednolicania miasta do homogenicznej konsystencji Polski kontynentalnej: ciągnące się budowy, przebudowy dawnych budynków stanowiących o odrębności wymuszające rycie w przeszłości pod warstwą ziemi. Stolica wyspiarskiej Translandii jest tak wielkomięjska, że aż prowincjonalna.

Gdyby nie miejsce, przeszłość, te uwarunkowania i obciążenia organiczne, mógłbym zająć się czymś innym. Tu lub tam. A tak jestem wypadkową decyzji i okoliczności przeszłości. Wybiegnę daleko do przodu. Od dawna już nie żyję. To Fakt. Był nie był. Gdzie jestem? Z kim? Czy to miało jakiś sens? Czy teraz, gdy jestem po drugiej stronie i widzę wszystkich najbliższych i kochanego psiego przyjaciela, to miało jakiś sens? Czy będzie miało sens, że jeszcze dziesięć wigilii? Dziesięć dni jak jutro? Kilkaset świtów i nocnych wilczych wyć i wieczornych lisich poszczekiwań. Jeszcze kilkadziesiąt sporów, złości i, mam nadzieję, nieco więcej zgód i porozumień. Czy warto było?

Gdybym urodził się na Wyspach Owczych, spoglądałbym na morze i martwił się o jakość owczego sera. Niewiele lub nic nie styszałbym o Translandii i zapewne byłoby to dla mnie zupełnie obojętne. Gdybym urodził się na duńsko-niemieckim pograniczu, na przykład w zagubionym wśród lasów i jezior Sankelmark, jedyną nicią łączącą mnie z przeszłością byłaby wielka bitwa rozegrana pomiędzy Prusami a Danią w 1864, gdy nowotwór nacjonalizmu zaczynał mutować do nowoczesnych i współczesnych form. Gdyby przyszło mi być Alzatzczykiem lub Brabantczykiem, zupełnie nie interesowałaby mnie w XXI wieku wąska i wyłączonej forma narodu. Kilka razy w tygodniu zmieniałbym język, pozostając cały czas sobą. Pewnie styszałbym o Schillerze i jego *Odzie do radości*, o Wolterze i jego *Traktacie o tolerancji*. A tak? Mieszkałem przy dawnej Schiller Strasse. Mieszkam w domu po Wolterach. Wychowałem się w świecie płynności zawartej w nazwie Schmelze. Komponuję na nowo rzeczywistość, stojąc na śliskich kamieniach Witny. Gdzieś z okien dobiega muzyka Badalamentiego.

Ostatnia dekada obfituje w rozród populizmów wymykających się spod kontroli. Minęło dziewięćdziesiąt lat od demokratycznego dojścia przez Hitlera do władzy. Kogoś to czegoś nauczyło? Ciężkie ostrze gilotyny drży na szczycie drewnianej ramy, a dłoni przytrzymujących sznur ją zwalnających jest coraz mniej: jakie to szczęście nic nie wiedzieć...

Spotkałem prawdziwie wierzącego w czystość Polaka: Bóg, honor, ojczyzna. Wywrzaskuje na marszach hasło Chrystus Rex! Nie wie, że wykrzykuje nazwę walońskiego ugrupowania nazistowskiego pod taką samą nazwą. Christus Rex w 1943 roku sformowali Brygadę Szturmową SS „Walonia” (La Brigade d’Assault

Wallonie – SS Sturmbrigade „Wallonie”) walczącą na Ukrainie. W styczniu 45., już jako 28. Ochotnicza Dywizja Grenadierów SS „Wallonien” walczyła na Wale Pomorskim. Część rozbitych oddziałów wykrwawito się w zasadzce koło Pszczewa, część broniła później Berlina. Na Wale Pomorskim mój dziadek dostał kulę snajperską w twarz, już na stałe pozbawiającą go możliwości płynnego mówienia. Również w języku pierwszego czucia.

Prawdziwy Polak na co dzień nosi ciuchy Made in China. Poznał dziewczynę. (Hu ha! Zrobiło się dziecię!). Nie wierzył, że to mogło akurat jemu się przytrafić (wszak i ten Bóg, i ten honor, i ta ojczyzna). Zrobił badania genetyczne. Przy okazji wykonał test autosomalny. Po wynikach przez tydzień nie wychodził z domu. Był zarówno potwierdzonym ojcem i genetycznym Żydem. *Der secht iz a kricher* – zrozumienie przychodzi powoli. Bywa, że nigdy.



Rys. Jacek Lauda

W przedszkolu będącym do końca świata własnością Feuerhermów, do którego przez chwilę mnie doprowadzano, mieliśmy przekomarzanekę: mój tata jest silniejszy od twojego, a mój wujek jest silniejszy od twojego taty, itd. Mieliśmy po cztery lata. Nacjonalizm to traumy z dzieciństwa, które – jeśli nieprzetrawione – rozpędzają się w infantylnizm wieku dorosłego: to suma przegranych bitew podwórkowych o względy Jadzi z sąsiedztwa i ojca alkoholika celebrytującego mszą i półlitrem każdą niedzielę.

Translandia jest rozmyta, ale nie jest niewyraźna. Trochę jak technika stosowana przez da Vinci. Nakładanie kolejnych warstw w efekcie daje nieodpartą wrażenie wielowymiarowości i hiperrealności, a postrzeganie jest zindywidualizowane i zależne od sumy doświadczeń, które nie są zakończone, ale stają się wciąż i na nowo. Bowiem uniwersum Translandii zawiera się w nieostrości i braku żelaznej konsekwencji, a wielowarstwowość dająca w efekcie rozmycie uruchamiana jest w zależności od kontekstu i sytuacji.

Odkąd zamieszkałem w lesie, na jednym z wypiętrzeń Pradoliny, o oddech od dawnych i dzisiejszych Massin, Stenewitz i Lubenow, staję się coraz bardziej eksterytorialny, bardziej rozumiejąc swój przygodny byt i wzajemne sieci powiązań. Translandia bowiem jest jak pajęczka nić: jestem w nią równocześnie wplątany i sam tkam nici pajęczce. A im więcej rozumiem, tym mniej mnie to obchodzi. Ile to wszystko jest warte? Tyle, ile świt codzienny. Idę sadzić jabłonie...



Janina Jurgowiak

BALLADA DZIADOWSKA

Stuchajcie ludzie, co wam dziadek powie
o dwojgu takich rozkochanych w sobie.
On w słusznym wieku, ona też niemłoda –
Co za przygoda!

Razem zbierają puszki i butelki,
niosą do skupu – stąd ich pieniądz wszelki.
Mają na piwo, nie pijają kawy –
Losie taskawy!

Nie lekceważą drobnych przyjemności,
więc często – gęsto wpraszają się w gości.
Uszczkną coś ze stołu i już są na progu –
O, dzięki Bogu!

Dziś się udało, jutro też się uda.
Umieją liczyć, liczą więc na cuda.
Cokolwiek zbroją, to ujdzie im ptazem,
bo zawsze razem.

GRZECZNOŚĆ

PROSZĘ bardzo i uprzejmie
Oto mój królewski gest
DZIĘKUJĘ serdecznie
Bardzo mi pomogłeś
nie zawiodłeś
wyręczyłeś
dziękuję
PRZEPRASZAM
ja
ja mam przepraszac
a za co
należało ci się durniu

26. 03. 2024

ŚWIATŁO

Prowadź gdzie światło
o zmroku przychodzi zwątpienie
prowadź choć nie wiem czy pójde

przepaść pociąga i trwoży

więcej światła
więcej życia
wciąż mi go mało i mało

błądzenie nie jest błędem
jest wyjściem na bezdroża
prowadź po bezdrożach
wszak jestem moim darem dla Ciebie
Ty jesteś moim Światłem
i drogowskazem

Ferdynand Głódzik

125 lat gorzowskich tramwajów

Gdy coraz dalej słońce od zenitu,
kiedy śródmiejski ruch z wolna ustaje,
wiotczącą szumy gwarnych godzin szczytu
i pustoszeją stłoczone tramwaje.

Licznych przechodniów żywiołowa fala,
nurtem spokojnym jak w nizinnej rzece,
rzednieje, zwalnia, kurczy się, oddala,
czy to październik, czy luty, czy kwiecień.

Gdy noc zapada, wschodzi księżyc blady,
i mrok spowija gorzowskie ulice,
po lśniących szynach przez liczne podkłady
składy wagonów jadą na Wieprzyce.

O wczesnym ranku, zanim dzień się zbudzi,
ruszą do pracy, sklepu lub warsztatu
tłumy zaspanych czekających ludzi
na pełny etat lub na pół etatu.

Sto lat z okładem od czasów Landsbergu
od czasów dawnych aż do współczesności
polską historię Gorzowa nam dziergać
na wieczną pamięć i ku potomności.

Zasiew

Trafiło nam się jak ślepej kurze,
Z powtórą bladą i cienką,
Wychudłe nieco, wątłe, nieduże
niespotykane ziarenko.

Zadrzała moja sękata ręka,
Co jest do pieszczot niewprawną,
Bom nigdy nie miał w dłoni ziarenka,
A może było to dawno?

Łatwo je zniszczyć, albo uronić,
Zdeptać przypadkiem bezgłośnie.
Razem grzejemy je ciepłem dłoni,
Ono kiełkuje i rośnie.

Ziarenko słońca promyki spija,
Głębiej zapuszcza korzenie,
Na oczach świeżą zieleń rozwija,
Twarzom maluje rumieniec.

Już się od naszych ramion
rozkrzewia,
Tęsknotą w piersiach dygoce,
A kiedy ogniem zakwitnie w
trzewiach,
W pełni objawi swe moce.

VILANELLA NA TEMAT PRAWA O RUCHU DROGOWYM

Zbigniew Witostawski

Na skrzyżowaniu pokus i sumienia
pieszy, nie mogąc przejść na drugą stronę,
stoję i pytam: Ki czort światła zmienia?

I doprowadza mnie prawie do wrzenia
to, że mam ciągle przed sobą czerwone
na skrzyżowaniu pokus i sumienia.

Być może jest to rodzaj ostrzeżenia,
być może barwa stanowi ochronę
i to stróż-aniół, nie czort, światła zmienia.

A może by tak, w chwili zapomnienia,
raz nie przejmować się światła kolorem
na skrzyżowaniu pokus i sumienia?

Krok pierwszy stawiam niby od niechcenia,
lecz nagle – cóż to? – rozbłyska zielone!
Po jakie лихо ten czort światła zmienia?

I nie zaznałem rozkoszy grzeszenia,
radości jaką dają czyny zabronione.
Na skrzyżowaniu pokus i sumienia
już wszystko wolno, bo czort światła zmienia.



PRZESZŁOŚĆ NIGDY NIE MIJA

Beata Igielska

W świetle latarni to nowa, wyczekiwana powieść Zofii Mąkosy, otwierająca cykl *Pomiędzy*. Czyta się ją jednym tchem, z ogromną przyjemnością i emocjami, chcąc jak najszybciej poznać finał, który mocno podnosi odbiorcy adrenalinę. A potem żałuje się, że to już koniec... I wraca się do różnych fragmentów prozy, która napisana jest piękną polszczyzną.

Akcja zaczyna się Trzciel (ówczesnym Tirschtiegel) w 1920 roku. W miasteczku żyją Niemcy, Polacy i Żydzi. Relacje między nimi układają się różnie, zwłaszcza po tym, jak po I wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości wielkopolski Trzciel zostaje przedzielony granicą. Doprowadza to do wielu nieporozumień, a także absurdalnych sytuacji, gdy nagle okazuje się, że ci, którzy do niedawna byli sąsiadami, mieszkają teraz w dwóch różnych krajach. Zdarza się nawet, że ta sama rodzina ma dom w Polsce, a warsztat po stronie niemieckiej (i odwrotnie).

Taka sytuacja sprzyja szmuglerom, tym bardziej, że ceny po obu stronach granicy bardzo się różnią. Ważną rolę w historii (i w książce) odgrywają też szpiedzy. Nie bez kozery nazywano Trzciel nieformalną stolicą przemysłowców i wywiadowców. Na tle tych wydarzeń poznajemy losy głównych bohaterów – trzcielskiej rodziny Wieczorków i Joanny, młodej wdowy mieszkającej w Poznaniu, ale odwiedzającej Trzciel po latach. Jak się okazuje, Joanna znała się niegdyś dobrze z nieżyjącą już żoną Wieczorka. Jej niespodziewane odwiedziny wprowadzają w życiu rodziny spore zmiany... Dużo miejsca autorka poświęca siostrze – Weronice i Neli Wieczorkównym. Przyglądamy się ich codzienności, rozterkom, trudnemu życiu pod rządami ojca i starszego brata. Poznajemy jednak także ich chwile szczęścia, radości i nadziei. To bardzo wzruszające i dające do myślenia postacie, których trudno nie polubić (jak się okazało na pierwszym spotkaniu autorskim, Nela jest ulubioną bohaterką nie tylko czytelniczek i czytelników, ale także autorki).

W świetle latarni to nie tylko powieść o historii Pogranicza. To także książka o miłości i jej potrzebie, o przyjaźni, trudnych życiowych wyborach ponadczasowych, aktualnych problemach (m.in. nietolerancji, stereotypach, antysemityzmie, uprzedzeniach społecznych, o nierównym traktowaniu kobiet, uchodźstwie i niszczącej sile wojny). Niepowtarzalny jest klimat pierwszego tomu cyklu *Pomiędzy*. Czytelnik przenosi się w czasie i przestrzeni, gdyż opisana rzeczywistość jest tak realistyczna, a jednocześnie synestezyjna, że trudno oprzeć się wrażeniu wnिकnięcia w świat przedstawiony. Wraz z bohaterkami i bohaterami wędrujemy uliczkami Trzciela, zaglądamy do ich domów, jemy z nimi posiłki, odczuwamy ich nastroje, ale także fizyczne doznania (zimno, głód, ból...).

Nie sposób podczas lektury (i po niej) nie zastanowić się nad znaczeniem tytułu cyklu. *Pomiędzy* – to słowo bardzo pojemne, wieloznaczne, zwłaszcza w odniesieniu do treści. Nie będę zdradzać mojej interpretacji, gdyż każdy odbiorca musi to zrobić sam. Jeśli dodam, że elementem fabuły jest też tajemniczy latarnik, a całość napisana została piękną polszczyzną i dojrzałym, ujmującym, klimatycznym stylem – to pozostaje jak najszybciej zanurzyć się w świecie stworzonym przez Zofię Mąkosę.

Zofia Mąkosa, *W świetle latarni*, Wydawnictwo Książnica, Warszawa 2024

KIERUNEK – UWAGA

Agnieszka Moskaluk

MAŁGORZATA MEG SZUMSKA jest aktorką, podróżniczką, mówczynią, prezeską Kopalni Złota w Złotym Stoku oraz właścicielką kultowego pensjonatu Złoty Jar. Jest także pisarką. Wydała m.in. podróżniczo-rodzinną *Zieloną sukienkę*, reportaże *Twarze tajfunu. W poszukiwaniu szczęścia na Filipinach*, a także *Baśnie i legendy Gór Złotych*. Stworzyła kontynuację przygód Bolka i Lolka *Bolek i Lolek w poszukiwaniu polskich skarbów*, a parę miesięcy temu ukazał się *Uważnik. Przewodnik świadomego podróżowania*. Z Meg spotkałyśmy się w czerwcu podczas festiwalu podróżniczego Campowisko w Świebodzinie.

Meg, jesteś podróżniczką, lubisz wyprawy solo. Byłaś na różnych krańcach świata. I jak mało kto wiesz, że nie da się ruszyć w drogę, jeśli nie zrobimy pierwszego kroku – to oczywiste. Ale nie da się ruszyć w drogę, jeżeli nie wiemy, w jakim kierunku chcemy podążyć, jaki jest cel tej podróży.

Ja tak właśnie miałam z Kenią, z tym że oddzieliłabym kierunek od celu. Przeżywałam trudny czas i byłam pewna, że pojadę do Indii, bo w Indiach mam swój ashram – tam się czuję bezpiecznie. W trakcie epizodu depresyjnego byłam pewna, że właśnie w ashramie odnajdę spokój. Zamknę się tam, będę skupiona na sobie i na swoich emocjach. I nagle ta Kenia, wszędzie Kenia. A to na Instagramie pokazała mi się jakaś rolka z Kenii, a to ktoś ze znajomych opowiadał o podróży po Kenii. Włączyłam radio i słyszałam o słońcach w Kenii. Cały czas ta Kenia! I tak sobie usiadłam i w zgodzie ze sobą pomyślałam: Czy ty chcesz jechać do Kenii i po prostu wyłapujesz tę Kenię wszędzie i podświadomie dajesz sygnał, czego teraz naprawdę potrzebujesz? I jakiś cichy głosik powiedział mi: Tak, chcę jechać do Kenii.

A jak już rozpoznałam kierunek – Kenia, to tam nie było celu. Cel był tylko taki, że muszę pobyć sama ze sobą, odpocząć, zrozumieć, co się dzieje. To była podróż w głąb siebie.

Ważne, by wszystko robić w zgodzie ze sobą?

Zdecydowanie! Jeśli chcemy odpocząć psychicznie, zrobimy to totalnie tak, jak czujemy! Na luzie. Ale jeżeli chcemy przeżyć coś wyjątkowego, przesunąć swoje granice, to warto „zrobić sobie przygodę” – pojechać w konkretnym celu, zdobyć szczyty, przejść wymarzone szlaki, podjąć wyzwanie.

Nie każdy wyjazd jest wielką podróżą. Nie w każdym kontekście jesteśmy podróżnikami. Czasem jesteśmy po prostu turystą, który jedzie zobaczyć szopkę w Bardzie. Wtedy obieramy kierunek: wakacje, odpoczynek, zwiedzanie...

... i nie ma nic złego w tym, że bywamy po prostu turystami!

Absolutnie!

Ja w turystyce jestem zarówno biorcą, jak i dawcą. Patrzę na to z obu stron. Warto pamiętać o tym, że nawet podczas naszej wielkiej podróży, która ma wymiar duchowy, bywamy zarówno podróżnikiem, jak i turystą – szczególnie dla tych, których mijamy po drodze, od których kupujemy posiłek, którzy wynajmują nam lokum czy auto, robią kawę czy herbatę...

... i należy im się szacunek, bo to oni pracują na to, by nasz wolny czas był atrakcyjny, miły i byśmy czuli się po prostu dobrze. Nasz stosunek do drugiego człowieka to taki „ślad na piasku”, który zostawiamy w ludziach, w miejscach. I w sobie samych też mamy ślady tych ludzi, których spotkaliśmy po drodze.

Tak, i trzeba zastanowić się, jaki ślad zostawiamy. To nie jest żadna tajemnica, że pracujący w turystyce ludzie na koniec sezonu opowiadają sobie o najgorszych klientach, jakich mieli tego roku. Chcesz być zapamiętany jako właśnie taki najgorszy klient roku, czy chcesz zostawić ślad dobrego, ciepłego człowieka?

Kiedy zbliżałaś się do trzydziestki, postanowiłaś zrealizować 30 wyzwań, których wcześniej nie doświadczyłaś. Zastanawiam się, czy za parę lat byłabyś gotowa zrealizować 40 kolejnych wyzwań? Czy etap takiego właśnie odhaczania już jest poza tobą?

Kenia mi pokazała, że ja nie muszę nic. Ja tam miałam zaplanowane trzy rzeczy. To było wynajęcie auta, kupno biletu, pierwszy nocleg. A potem trochę poczułam się jak ptaki św. Franciszka. Nie proszą o jedzenie, a nie są głodne; nie proszą o schronienie, a mają je. Naprawdę tak się czułam, teraz mam ciarki i tży w oczach, gdy o tym myślę.

Co roku robię sobie listę postanowień i marzeń na dany rok i widzę, jak ona się zmienia. Kiedyś to było ileś tam rzeczy: współpracować z National Geographic, wydać książkę, sprzedać cały nakład w ciągu 4 miesięcy i jeszcze to, to, tamto. Później, gdy miałam najgorszy rok w moim dorosłym życiu, miałam jedną rzecz. Napisałam: PRZEŻYĆ. Gdy po roku otworzyłam kalendarz, to pomyślałam: Dałaś radę, przeżyłaś! I znowu zaczęłam sobie wypisywać różne postanowienia, a potem wykasowałam je i napisałam: BYĆ SZCZĘŚLIWA, SPOKOJNA. Dla mnie szczęście równa się spokój. A ostatnio szczęście to także pisanie. Ono jest mi wręcz potrzebne do życia. Bardzo!

Dobrze ci idzie! Zaczęto się od *Zielonej sukienki*, czyli poruszającej historii rodzinnej. Potem napisałaś *Twarze tajfunu*, gdzie poddajesz krytyce turystykę wolontaryjną i wskazujesz, jak bardzo ważne jest branie odpowiedzialności za ludzi – w tym przypadku dzieci – których spotykamy na swojej drodze. Potem kontynuacja Bolka i Lolka, słowiańskie legendy, no i *Uważnik*. To są tematy z bardzo różnych światów, ale jednocześnie łączy je twoja wrażliwość...

Jakie to miłe! Ja ciągle szukam siebie jako pisarki. Bardzo lubię pisać, pandemia pokazała mi, jak bardzo odcięłam się od pisania i jak bardzo mi tego brakuje, więc zrobiłam się dosyć produktywna, faktycznie. Teraz piszę książkę fantasy i aż mam ciarki, jak sobie o tym myślę.

O! Znów coś zupełnie nowego!

To będzie mocno kobiece fantasy, bo brakuje nam takich fajnych postaci kobiecych i kobiecego głosu w tym gatunku. Daję sobie na to czas i już nie mam czegoś takiego jak przy pisaniu *Zielonej sukienki*, że w ciągu roku muszę ją wydać, wypromować i sprzedać. Teraz mam takie: może za trzy lata, może za pięć. Chcę, żeby to było łatwe.

Sam proces pisania jest cudowny! Ale to nie znaczy, że po drodze nie pojawią się inne książki. Właściwie, mam kilka tematów, które cały czas leżą i czekają. Marzy mi się reportaż o ludziach, którzy zostali na Wileńszczyźnie po II wojnie światowej. To byłaby taka trochę kontynuacja *Zielonej Sukienki*.

Ważny temat...

Długo miałam blokadę. Moja babcia nie chciała, żebym o tym pisała. Nie wiem, dlaczego. Po jej śmierci też nie byłam gotowa. Chyba muszę do tego dorosnąć. Uważam, że trzeba być bardzo mądrym i dojrzałym, żeby podjąć ten temat, a ja ciągle czuję, że jeszcze nie jestem gotowa.

A w ogóle, gdybym mogła, to bym podróżowała po świecie, mieszkała w różnych miejscach tak po pół roku, po rok i tylko pisała. To by było spełnienie marzeń. No, ale pisarze nie zarabiają za dużo, więc Kopalnia Złota się przydaje (śmiech).

To jeszcze na zakończenie zapytam o twój najważniejszy drogowskaz życiowy?

Pomagać innym i mieć do innych szacunek.



KOBIETY PETERSSENÓW SĄ WSZĘDZIE

Beata Igielska

Nowa powieść Iwony Żytkowiak intryguje od pierwszych stron. Nawet jeśli od pewnego momentu akcja wydaje się przewidywalna, losy głównej bohaterki śle dzi się z zainteresowaniem.

Inspiracją do napisania *Kobiet Peterssenów* były autentyczne wydarzenia. Inne były nazwiska postaci, inne miejsca, jednak problemy i emocje okazały się prawdziwe, co autorka podkreśla we wstępie.

Akcja zaczyna się w 2014 roku intrygującym prologiem. W swój świat wprowadza nas Julita Kordecka, młoda kobieta robiąca karierę w międzynarodowej korporacji. Jest obowiązkowa, sumienna i ambitna. W pracy musi mieć wszystko zaplanowane i poukładane. W życiu prywatnym jest różnie, tym bardziej, że z rodziną łączą ją skomplikowane relacje.

Gdy Julita poznaje przypadkowo Norwega, Jensa Peterssena, jej życie nagle się zmienia. Dużo starszy mężczyzna szybko ją oczarowuje i wzbudza zaufanie. Jest szarmancki, umie zaskakiwać uroczymi niespodziankami i poczuciem humoru. Okazuje się też wspaniałym kochankiem.

Związek Kordeckiej z Peterssenem przypomina lot ćmy. Gdy kobieta decyduje się wyjechać z nim do Norwegii, nie mamy już wątpliwości, że nie będzie to podróż do wymarzonego raju. Przecież znamy takie sytuacje z mediów, literatury, czasem z własnego podwórka. I dziwimy się naiwności bohaterki, która – naszym zdaniem – powinna przecież dostrzec różne niepokojące sygnały...

Wraz z nią jednak przeżywamy późniejsze dramatyczne wydarzenia, gdy trudno nie poddać się emocjom podczas lektury. Wciąż zastanawiamy się też nad sensem tytułu. O jakich kobietach Peterssenów będzie mowa?

By poznać ostateczną odpowiedź na to pytanie, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Dlaczego warto przeczytać nową powieść Iwony Żytkowiak, skoro dość szybko przewidujemy przebieg wydarzeń? Chociażby dlatego, że autorka stworzyła przekonujące, wyraziste postacie, pełne emocji, które sugestywnie oddziałują na odbiorcę. Interesujące jest śledzenie ich perypetii oraz poznawanie przeszłości, która pojawia się w retrospekcjach.

Nie wiem, czy ta książka miała być w zamyśle autorki ostrzeżeniem przed lekkomyślnością, naiwnością i ślełą miłością, która – mówiąc kolokwialnie – odbiera zakochanej osobie rozum. Znając wcześniejsze powieści Iwony Żytkowiak, skłonna jestem sądzić, że bardziej szukała ona odpowiedzi na pytania o przyczyny takiej sytuacji. Przecież Julita to inteligentna kobieta, wykształcona, błyskotliwa, kierująca się w życiu racjonalizmem.

Czy na jej wybór i związek z Jensem ma wpływ skomplikowana sytuacja rodzinna? Czy to próba znalezienia bezpiecznej przystani i oparcia? Czy może pierwsza w życiu tak wielka namiętność i pragnienie bycia kochaną? A może jeszcze coś innego?

Ważnym problemem pojawiającym się w książce jest zło, które tkwi w człowieku. Autorka nie tylko opisuje patologiczne zachowania, ale również docieka, skąd one się biorą. Czy ludzie rodzą się źli, czy takimi się stają? Czy zło można dziedziczyć, czy uczy się go od innych? Odpowiedzi na te pytania przynoszą ostatnie rozdziały, zmuszając do myślenia i analizowania przyczyn postępowania niektórych bohaterów.

W moim odczuciu Iwona Żytkowiak zwraca swoją powieścią uwagę na to, że na świecie jest wiele takich Peterssenów i ich kobiet. Czasem mieszkają niedaleko nas, niekoniecznie na odległej wyspie...

Na uwagę zasługują: barwny język i dynamiczny styl. Nie brak tu jednak chwil refleksji oraz ciekawych, kontrastujących ze sobą opisów (na przykład pięknej, chociaż surowej przyrody norweskiej i plugastwa stworzonego przez człowieka).

Czyta się tę powieść szybko i z dużymi emocjami, które na pewno wzmacnia także świadomość, że opisana historia została oparta na prawdziwych wydarzeniach.

Najlepszą rekomendacją na pewno jest fakt, że myśli się o *Kobietach Peterssenów* długo po odłożeniu książki na półkę.

Iwona Żytkowiak, *Kobiety Peterssenów*, Wydawnictwo Replika, Warszawa 2024



UNOSZĄC SIĘ PONAD CHODNIKAMI

Magda Turska

Skrzydlaty koń, będący symbolem natchnienia poetyckiego, zrodził się z krwi Meduzy, gdy uśmiercił ją Perseusz. Dla Lubuszan Pegaz od ponad dwudziestu lat powinien kojarzyć się nie tylko z mitologią, ale i czasopiśmem literackim, które obecnie ma solidnie ugruntowaną pozycję w rzeczywistości pisarskiej regionu i szerzej – kraju.

W maju 2003 roku z inicjatywy nieżyjącego już Ireneusza Krzysztofa Szmidta i dyrektora gorzowskiej Książnicy Edwarda Jaworskiego powstał „Pegaz Lubuski” wydawany nieprzerwanie od 21 lat przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim oraz Gorzowski Klub Literacki ZLP (dopiero kilkanaście miesięcy później, w grudniu 2004 roku powołano w mieście – na fundamentach Klubu – Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim). Pierwszy numer opublikowano w formacie A4 i liczył 10 stron. Wydała go Biblioteka. Redakcją zajęli się Ireneusz K. Szmidt (redaktor naczelny) oraz Danuta Zielińska, ówczesna kierowniczka Działu Informacyjno-Bibliograficznego WiMBP, późniejsza sekretarz redakcji. Kolejny numer wydrukowało Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne Arsenat, by od 36. (2009 rok) ostatecznym wydawcą stała się Książnica Herberta. Czasopismo ukazuje się jako kwartalnik. Wyjątkiem były lata 2006-2008, gdy rozpowszechniano rocznie po sześć numerów – w tym czasie magazyn otrzymał dofinansowanie z Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego¹.

„Pegaz Lubuski” przechodził liczne metamorfozy. Zmieniała się objętość – od 16 stron w 2003 roku, 40 w 2020 i 24 w 2021. Do tego czasu nieprzerwanie był wydawany w formacie A4. Od 2005 roku zainicjowano pomysł „Biblioteki Pegaza Lubuskiego”, która działała przy piśmie i w której serii ukazywały się książki (można było je nabyć przez internet). W 2013 roku dołączono do periodyku „Pegazik Lubuski”, czyli specjalny dodatek z wierszami dla dzieci.

Znamienną cezurą okazał się rok 2022, gdy zmieniła się redakcja periodyku (po śmierci Ireneusza K. Szmidta – 4.05.2021 r.). Redaktorką naczelną została Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk (obecna prezeska Związku Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim), a jej zastępczynią Beata Igielska. Danuta Zielińska do lipca 2023 roku pełniła funkcję sekretarz redakcji – zajmowała się również korektą przy wsparciu Magdaleny Turskiej. Pieczę nad składem komputerowym objął Sebastian Wróblewski, kierownik Działu Zintegrowanych Procesów Informatycznych WiMBP.

Obecnie czasopismo ukazuje się w formacie A5 i liczy 70 stron (numer grudniowy z 2022 i 2023 roku wyjątkowo 140 stron). Dzięki żywej paginie, nadaniu odpowiedniego światła, kredowej okładce kwartalnik zyskał na przejrzystości i wysublimowanej estetyce. Novum okazały się również tematyczne prezentacje twórczości artystycznej, tj. graficznej i fotograficznej (wcześniej opracowaniem graficznym zajmował się okazjonalnie plastyk Zbigniew Olchowik, który zamieszczał na szpaltach także karykatury). Do końca 2023 roku wydano 95 numerów. Wszystkie są dostępne w wersji online. Na stronie internetowej Książnicy jest również na bieżąco dodawany skorowidz do kwartalnika.

¹ Za: https://encyklopedia.wimbp.gorzow.pl/p/pegaz_lubuski/pegaz_lubuski.html [dostęp: 12.10.2022].

Czasopismo prezentuje utwory nie tylko członków Związku Literatów Polskich i kandydatów do niego, ale i utalentowanych niezrzeszonych oraz debiutantów. Na jego łamach publikują twórcy z Gorzowa Wielkopolskiego i regionu. Pojawiają się również teksty z Poznania, Szczecina, Wrocławia czy Zielonej Góry. Związani z „Pegazem Lubuskim” reprezentują środowiska ściśle literackie oraz akademickie, w tym krytycznoliterackie. W artykule redakcyjnym z sygnałnego numeru spiritus movens inicjatyw literackich w mieście, czyli Ireneusz K. Szmidt napisał:

Podejmujemy kolejną w Gorzowie próbę osiodłania skrzydlatego rumaka, jedynie skutecznego środka lokomocji dla tych, co wybierają się na Parnas. Nie ma na świecie środowiska literackiego, które nie marzyłoby o własnym piśmie. Tam, gdzie pisarze mogą swoje nowe utwory ujrzeć w druku, zanim pojawią się one w postaci książki. Jest szansa na ich doskonalenie, bo w piśmie gromadzą się autorzy i czytelnicy ich późniejszych książek. Staje się ono stymulatorem życia literackiego danego środowiska, określonego granicami kraju, regionu, czy miasta².

Kilkanaście lat później redaktorka naczelna Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk dopowiada:

Oddajemy w Państwa ręce nowy numer „Pegaza Lubuskiego”. Pierwszy w 2022 roku. Pierwszy pod nową redakcją. Pierwszy w nowej szacie graficznej i formacie. Pierwszy, który – choć nie odzęgkuje się od tradycji – chce jednak nieco inaczej prezentować lokalnych literatów i ich twórczość. [...] Cały numer – po raz pierwszy – determinuje jeden temat. Tym razem to TOŻSAMOŚĆ. O niej... o nich – rozmytych tożsamościach pogranicza – pisze w arcyciekawym eseju dr Maciej J. Dudziak. [...] Jedno w „Pegazie Lubuskim” się nie zmienia – znajdują w nim Państwo teksty znanych i docenianych autorów. Bardzo dobre teksty!³.

Ważnym elementem treściowym i uzupełnieniem tekstów literatury pięknej są recenzje książek, które wydano na rynku lokalnym oraz krajowym, jak również eseje, felietony i artykuły naukowe (w tym fragmenty książek naukowych). W kwartalniku prezentuje się także sylwetki autorów.

Czasopismo doczekało się skrupulatnej bibliografii autorstwa wspomnianej wcześniej Danuty Zielińskiej i oddanej do druku w 2022 roku przez Bibliotekę Herberta. Dzięki publikacji zostało ułatwione pozyskanie danych ilościowych na temat autorów i gatunków literackich. Dużym udogodnieniem okazał się również zawarty w bibliografii indeks. Okazuje się, że lwią część wydawnictwa stanowią materiały dotyczące recenzji opublikowanych w „Pegazie Lubuskim”.

Powyzsze passusy zamieściłam w tekście pt. *Krytyka literacka na łamach „Pegaza Lubuskiego”*, który ukazał się w „Języku. Religii. Tożsamości” wydawanym przez Akademię im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim. Do napisania owego artykułu skłonił mnie fenomen czasopisma, które wyrosło z potrzeby, jaką było stworzenie przestrzeni do wypowiedzi twórczej w naszym regionie.

Ukształtowałam się wraz z „Pegazem”, dzięki któremu zobaczyłam po raz pierwszy swój tekst w druku, a było to w 2008 roku, gdy zrelacjonowałam spotkanie autorskie Wojciecha Kuczoka w bibliotece w Kłodawie. Wcześniej blogowałam, żeby w końcu musnąć

² Ireneusz K. Szmidt, *Mamy Pegaza!*, „Pegaz Lubuski” 2003, nr 1, s. 1.

³ Agnieszka Moskaluk, *Od redakcji*, „Pegaz Lubuski” 2022, nr 1 (88), s. 1.

papier. Umożliwili mi ten awans Ireneusz K. Szmidt i Krystyna Kamińska. Śmiało mogę stwierdzić, że – gdyby nie czasopiśmiennicze początki – nie byłoby trzech książek, czyli *Międzyczasu, którego nie ma*, który się ukazał w serii „Biblioteki Pegaza Lubuskiego” i kolejnych *Wodnych granic* oraz *Szczęśliwostek*, wydanych przez Gorzowską Książnicę. Teksty pojawiały się we fragmentach w „Pegazie”. Zawsze mogłam liczyć na przychylność redakcji, a obecnie współdziałam z wydawnictwem, co uznaję za dużą nobilitację.

Jednak nobilitacja wiąże się z obowiązkiem. Często trudnym. Dlaczego? Ano do lubuskiego rumaka, swobodnie unoszącego się ponad przyziemność, przesyłają utwory znaczący ludzie pióra i debiutanci, których umiejętności częstokroć zaskakują. Korygowanie literatury o takim kalibrze wiąże się z dużą odpowiedzialnością. W większości korekta jest jedynie delikatnym retuszem.

Nobilitacja wiąże się również z przyjemnością. Co kwartał otrzymuję teksty, które wertuję z uwagą i nierzadko dużym zaskoczeniem. Stykam się z pisarstwem najwyższej próby, poczynawszy od poezji, opowiadań, poprzez eseje, na artykułach naukowych kończąc. Umiejętności twórców są nie do przecenienia.

Czytając powyższe fragmenty, ktoś mógłby dojść do wniosku, że to marny panegiryk. Nikt mnie jednakże nie zmuszał do napisania tego tekstu, nikt mi za niego nie zapłacił. Szczerze czuję, że „Pegaz Lubuski” to silna marka i nie dziwię się, że autorzy w nim publikujący chwalą się w mediach, iż mogą go współtworzyć.

Osobną kwestią są promocje wydawnictwa – od objęcia redakcji przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk w 2022 roku potączone ze spotkaniami autorskimi regionalnych literatów. Podczas czwartkowych popołudni, co trzy miesiące spotykają się lokalni twórcy kultury. Mam wrażenie, że skromni, na pewno nienapuszeni, przeglądają nieśmiało premierowy numer, żeby znaleźć w nim siebie, żeby poczytać innych. Co ważne, żeby też pooglądać, bo do nowej odstony „Pegaza” dodano wysokiej próby obrazy: grafiki, fotografie artystyczne, zdjęcia obrazów i rzeźb.

Spotkania autorskie to zawsze druga część wieczoru. Prezentują się uznani twórcy, jak i debiutanci. To momenty, gdy do głosu dochodzi pisarz/pisarka. Zebrani nagle znajdują się w mikrokosmosie literackiej rzeczywistości, mając jednocześnie możliwość zadawania pytań ku lepszemu poznaniu dzieła i jego autora/autorki.

Nie dość tego, pismo zrodziło interesujący pomysł. Od 2023 roku, w Bibliotece, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim organizuje warsztaty literackie „PADOK Pegaza”. Zawiązała się grupa twórców w różnym wieku (zwłaszcza młodzieży szkół średnich), którzy szlifują umiejętności pod okiem uznanych w środowisku pisarzy. Teksty uczestników warsztatów są na tyle dobre, że ukazują się w „Pegazie” w rubryce „Młodzi piszą”, a ich autorzy powoli stają się rozpoznawalni w kolorycie literackim miasta.

Wartość dodana czasopisma to ludzie, których twórczość jest z nim związana. Przecież „Pegaz” zawiera między innymi fragmenty opublikowanych wcześniej lub oddanych do publikacji dzieł. Uznane nazwiska nie wstydzą się pisać dla – można by powiedzieć „prowincjonalnego” – kwartalnika. W końcu nasze Macondo tworzą postacie, które nie zakopają swych talentów, lecz wciąż je mnożą. Dlatego warto pokusić się o tezę, że bogactwo kulturalne gorzowskiej lokalności jest zbudowane na mocnej podbudowie. Tego faktu nie można sprzeniewierzyć, więc życzę „Pegazowi Lubuskiemu”, aby wydawca nie szczędził nakładów na kolejne numery, a twórców nie opuszczała wena.

O TYM, CO JUŻ BYŁO...

Ewa Rutkowska

Kiedyś, podczas różnych imprez literackich, często mówiłam, że literatura to trudna dziedzina sztuki. Ale ciągle są ludzie, którzy tworzą, pisząc. Na początek sięgnę w pewnym sensie do „korzeni”. Życie literackie w Gorzowie zawsze było zauważalne. W pierwszych latach powojennych XX wieku duszą towarzystwa literackiego był na pewno Włodzimierz Korsak (1886-1973). Przyrodnik, podróżnik i pisarz.

Już pracowałam w Wojewódzkim Domu Kultury i pamiętam odstonięcie obelisku pamiętkowego ku czci samotnie i w ciszy tworzącej Ireny Dowgielewicz (1917-1987).

O Gorzowie z sentymentem pisała Christa Wolf, która ma nieopodal katedry swoją ławeczkę. Tu się urodziła, w ówczesnym Landsbergu (1929-2011).

Tu tworzyła Papusza (Bronisława Wajs) – poetka wywodząca się z romskiej grupy etnicznej Polska Roma (1908-1987).

O Zdzisławie Morawskim (1926-1992) mówiło się Książę Poetów...

Dom mój wapnem malowany – pisała Stanisława Plewińska, twórczyni ludowa, poetka, malarka (1925-2017).



Twórczość zawsze powstaje w domowym zaciszu. Mijały lata i znowu pojawiały się inne znaczące dla literatury nazwiska. Są wśród nich: Jerzy Gąsior Gąsiorek, Krystyna Caban, Roman Habdas, Beata Patrycja Klary-Stachowiak, Tadeusz Szyfer, Irena Zielińska, Witold Niedźwiecki, Ireneusz K. Szmidt, Ludwik Lipnicki, Łucja Fice, Kazimierz Furman. I wielu innych.

Czasem „się rozpędzam”. Jakby coś ode mnie zależało. Świat sobie idzie obok szybkim krokiem. Może choć na trochę

chcę ocalić coś od zapomnienia? Bo dokumentacja o moim Klubie Literackim z chwilą likwidacji Grodzkiego Domu Kultury „poszła z dymem”. Na wspomnienia o tym, co było, naszło mnie podczas spotkania w Klubie MCK Jedynka z okazji 75. urodzin Kazimierza Furmana (1949-2009). Było poetycko, wspomnieniowo i słodko, z pysznym tortem Tomka Polakiewicza. Całość moderowała, jak zwykle pięknie, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Monodram „Samotność mężczyzny” wystawił Marcin Ciężki.

4 maja minęły trzy lata od odejścia na „niebieskie połoniny” pomysłodawcy i redaktora naczelnego czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” Ireneusza Krzysztofa Szmidta (1935-2021). Teraz stery dzierży Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, poetka i dziennikarka, prezeska gorzowskiego oddziału ZLP. Pomysłodawczyni i realizatorka Festiwalu FurmanKa (od 2012). Wicenaczelną „Pegaza” jest Beata Igielska, poetka i prozaiczka. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich. Prawie od zawsze związana z „Pegazem Lubuskim”. Czas biegnie bardzo szybko. Tak się złożyło, że w tym roku jest także 20. rocznica powstania

Oddziału ZLP w Gorzowie. Niezamierzenie rocznica zbiega się z 20-leciem wejścia Polski do Unii Europejskiej. Pięknie się zaznaczyliśmy. Środowisko literackie ciągle się rozwijało. Ktoś ubywał, bo na przykład przestawał pisać albo zmieniał adres zamieszkania, ale pojawiał się też ktoś nowy. Nigdzie nie może być pustki.

Ja historię z gorzowską literaturą rozpoczęłam pod koniec roku 1998, u schyłku istnienia Wojewódzkiego Domu Kultury (potem Grodzkiego). Wtedy rozpoczęłam swoją działalność Klub Literacki, który potem przyjął nazwę Klub Poetów Okrąglego Stołu. Plan był taki, aby „powyciągać z szuflad” wszystkich piszących w Gorzowie i w okolicy. Do współpracy zaprosiłam Ireneusza K. Szmidta i tak powstały comiesięczne warsztaty literackie, w których na przestrzeni ponad 15 lat uczestniczyło ponad 100 osób. Spotykaliśmy się raz w miesiącu. Po dwóch latach intensywnej edukacji o odpowiedzialności za to, co się pisze, w ramach Biblioteki Klubu Literackiego GDK w 2000 roku wydano pierwszą antologię Klubu pt. *Niemy krzyk traw*. Tomik z grafikami znanej artystki z Barlinka Romany Kaszczyk zawierał utwory trzynastu autorów. Druga antologia z wierszami członków Klubu ukazała się w 2002 roku. W tomiku pt. *Niedzielni poeci* znajdowały się wiersze dwudziestu pięciu autorów. Były w nim też grafiki gorzowskiego artysty Grzegorza L. Piotrowskiego. Wielu członków Klubu uczestniczyło w ogólnopolskich konkursach literackich, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Pojawiały się indywidualne tomiki poetyckie. Trzecia antologia ukazała się w 2005 roku i nosiła tytuł *Poeci Okrąglego Stołu*, z rysunkami Zbigniewa Siwka, ówczesnego instruktora ds. plastyki w WDK/GDK. Zamieszczono w niej utwory trzydziestu ośmiu autorów. Było prawie regułą, że tomiki ukazywały się co dwa, trzy lata. We wszystkich tomikach był wstęp naszego Guru, Ireneusza K. Szmidta. On dokonywał wyboru do wszystkich tomików. I on wymyślał tytuły. Czwarta antologia pt. *Zapisani w wierszach* zawierała utwory czterdziestu autorów. Wydana została w 2007 roku. W 2008 roku, z okazji 750-lecia miasta Gorzowa, ukazała się antologia wierszy wywiedzionych z życia miasta i jego mieszkańców, napisanych przez poetów, którzy żyli i żyją (i tworzą) w naszym mieście. Antologia nosiła tytuł *Wstuchani w Kamienie Gorzowa*, wydana w Bibliotece Pegaza Lubuskiego pod redakcją Ireneusza K. Szmidta. Na sześćdziesiątych sześciu autorów, dwudziestu dziewięciu to byli członkowie Klubu Literackiego Poetów Okrąglego Stołu.

W 2010 roku wyszła kolejna antologia pt. *Słowa rodzą wiersz*, w której zamieszczono utwory sześćdziesięciu autorów. Ostatnia antologia w Bibliotece Klubu Literackiego ukazała się w 2014 roku. Był to *Portfel z Wierszami Poetów Okrąglego Stołu*. Na *Portfel* składało się piętnaście oddzielnych tomików, połączonych wspólną okładką. Z panoramicznymi fotografiami autorów tomików na okładkach w wykonaniu Anety Długotęckiej, też piszącej i debiutującej w *Portfelu* jako autorka. W okresie istnienia Klubu Literackiego bardzo wielu uczestników warsztatów wydawało indywidualne tomiki. Zdobywali ważne nagrody i wyróżnienia w konkursach literackich w Polsce. Wszyscy oni się jakoś zaznaczyli w naszym środowisku literackim. Niektórzy zdobywali „Wawrzyn”...



SNY I INNE ZMARTWIENIA

Helka Cąkała

11 sierpnia 1998, wtorek

Usnęłam koło północy. Kwadrans po drugiej obudził mnie warkot silnika samochodowego. Może to Juliusz? Cisza. Nie słychać ani drzwi na dole, ani kroków na schodach i nikt nie dobiera się do mieszkania. Może mi się śniło? Zdarza się przecież, że dzwoni ktoś do drzwi albo telefon budzi, zrywam się, nastuchuję i okazuje się, że to tylko sen. I teraz tak. Ale sen diabli wzięli. Leżę, przypominam sobie relacje telewizyjne z Żar, tłumy na peronach, ścisk w pociągach – obrazki jak z Dantego. Młódź kolorowa z irokezami klnie, wrzeszczy i niszczy, co napotka. Jeden tak się wychylił, że uderzył głową w słup trakcyjny. Czy mój Juliusz jest wśród tych szaleńców? Boże, chroń moje dziecko.

Dopiero nad ranem usnęłam i przyśniła mi się matka. Byłam w domu moich rodziców. Otworzyły się drzwi i wyszła z pokoju piękna, uśmiechnięta, elegancka. Zdałam sobie sprawę z tego, że wyglądam gorzej, ale zlekceważyłam to. Ucieszyłyśmy się obie. Uśmiechała się wciąż zagadkowo i niepokojąco, nawet, powiedziałaabym, zalotnie. Zapragnęłam ją dotknąć, ale nie wiedziałam, czy mogę i obawiałam się nieco. Jakby odgadła. Zdjęta białe cieniutkie rękawiczki przy nadgarstku wykończone falbanką i ośmieliłam się dotknąć jej palców. Zdziwiłam się, nie były tak zimne, jak to sobie wyobrażałam. Uśmiechnięta wciąż powiedziała z wyrzutem: „Nie przyjdiesz do mnie, nie odwiedzisz matki, niedobra córko”. A mówiąc to, przesuwała się nieznacznie w stronę drugich drzwi. Nabrałam podejrzeń – ona się skrada, ona nie ma dobrych zamiarów. I nagle przypomniał mi się sen siostry. Opowiadała mi, że przed śmiercią tatusia przyśniła jej się matka i powiedziała, że przyszła posprzątać. Może i teraz – pomyślałam – też przyszła kogoś sprzątnąć, jak wtedy tatusia? Zapytałam: po kogo przyszłaś? Jednocześnie pomyślałam zupełnie tchórzliwie – nic mi nie grozi, to nie do mnie, bo ja tu nie mieszkam. Nie odpowiadała i nadal chyłkiem przesuwała się do drzwi, a ja z narastającym przerażeniem: – Po kogo? Po kogo przyszłaś? – I podejrzenie, że to po Juliusza, po najmłodszego, po tego dzieciaka. Patrzyła badawczo, jakby chciała wiedzieć, jak to zniosę i odpowiedziała zbyt cicho, bym mogła usłyszeć.

– Po kogo? – domagałam się powtórzenia. – Po Juliusza?

– A nie, bo po Janka – powiedziała z przekornym uśmiechem.

– Nie! – zaprotestowałam zbyt słabo, bo w głębi gdzieś poczułam ulgę, zaraz jednak uświadomiłam sobie, że Janek to też moje dziecko. Ona kłamie – pomyślałam i głośno, rozpaczliwie krzyczałam: Neeee! I zaraz potem: Ratunku! Ratunku! Z tym „ratunku” obudziłam się. A może to Leo mnie obudził? Cicho, śpij. Drżałam, więc przytuliłam. Śpij, to tylko sen. Spoko.

Boże, błagam, ratuj moje dziecko. Chroni go. Niech wróci, niech już wróci. Błagam. Niewyspana rano byłam do niczego. Włączyłam telewizor, program z wiadomościami. Nic, żadnej informacji o tragicznej treści. Poszłam na policję. Jest tak a tak. Nie wrócił. A panowie jeden przez drugiego:

– Nie było informacji o żadnym wypadku kolejowym, drogowym, o pobiciu, w ogóle żadnej awantury nie było. Tak, skończyło się wczoraj, ale tam jeszcze są ludzie – nie mogli się zabrać jednym pociągiem – nie było specjalnych pociągów – sto tysięcy nie wsiadło do jednego – i nie odjechało – też na stopa – na raz wszyscy – wróci. A jeśli nie, to niech pani przyjdzie jutro, a najwcześniej dziś wieczorem. Spoko, spoko.

A on już jest. Przyjechał.

9 października 1999, sobota

Nie byłam wczoraj na spotkaniu z okazji. Nie poszłam. Nikt nie zauważył, że mnie nie było. Chyba nie zauważył, na pewno nie zauważył. Kto pamięta o starych mamutach! Zaraz, ile to lat miała starucha, którą zabił Raskolnikow? Sześćdziesiąt? Tak, sześćdziesiąt. Jeszcze kilka dni i nocy, kilka oddechów i będę miała sześćdziesiąt. Starucha, starucha, starucha. Trzeba się przyzwyczajają, trzeba... co trzeba? Wiem, trzeba sporządzić testament. Tak więc kiedy zniemacka trafi mnie szlag, rodzinko kochana, proszę zrobić, co następuje.

Testament.

1. Przypiec ogniem piętę. Jeśli się utworzy pęcherz, nie grzebać, bo zapewne nie umarłam definitywnie i nieodwołalnie do końca. Jeśli się pęcherz nie zrobi, to:
2. Pochować bez pompy i parady, bez szlochów i łez. Nie robić żadnych cyrków i rabanu. Nie kosztować się na drogie łąchy i zdobną trumnę, wieńce, kwiaty i muzyki. Nie urządzać stypy. Kto chce się upić, proszę bardzo, ale za własne pieniądze i na własną odpowiedzialność.
3. Całą moją makulaturę spalić. Książki rozdać wszystkim, którzy oddają się jeszcze anachronicznej sztuce czytania (Pamiętajcie, nie ma nic głupszego niż zbieranie pamiętek).
4. Precjoza rozdać synowym, a jeśli nie zechcą, bo zbyt tandetne, przekazać na nagrody dla wybitnych gorzowskich poetek.
5. Długów nie regulować, bo jeśli się ktoś zgłosi, to zapewne oszust. Ja nigdy nie zaciągałam żadnych pożyczek.

To napisałam ja, przy zdrowych zmysłach, absolutnie zdrowa na ciele i umyśle, co potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Scholastyka vel Helka Czakata.

No, to tyle. Powiedzmy, że to taki szkic. Muszę jeszcze przemyśleć parę rzeczy. Chyba muszę zasięgnąć rady jakiegoś prawnika. Nie mogę tego odkładać, bo

ani się człowiek obejrzy, już nie żyje, a testament pozostanie w zamyśle i co ja wtedy zrobię?

18 października 1999, poniedziałek

Jak sięgnę pamięcią, zawsze czytałam wszystko, co mi w ręce wpadło. Na szczęście, oprócz różnych śmieci w rodzaju *Kartusz, lew salonów, pogromca tyranów, ulubieniec kobiet*, wpadały mi w ręce pozycje takie jak *Lord Jim* Josepha Conrada, którego czytałam z wielkim samozaparciem, nie rozumiejąc do końca motywów postępowania głównego bohatera. Chłonełam za to wilgotny klimat, tę parną, duszną atmosferę tropików i ulegałam urokowi eleganckiego, białego oficera marynarki, któremu przytrafiło się coś niepojętego, z czym sobie nie radził. Dlaczego? Tego właśnie nie mogłam zrozumieć. Wpadł mi też w ręce zbiór opowiadań Leona Kruczkowskiego *Z kraju milczenia*. To tam natknęłam się na zdanie, chyba w opowiadaniu *Lotna: Prawie leżąc na karku końskim, ranny ułan składał meldunek*. To krótkie zdanie zauroczyło mnie. Chciałam wiedzieć dlaczego i nie mogłam dociec. Czytałam je wielokrotnie, było piękne. Co w nim było takiego? Powtarzałam w kółko, aż zapamiętałam na całe życie. Po wielu latach odkryłam, dlaczego – jest proste, rytmiczne, krótkie, jak żołnierski meldunek. Rytm jest odrobinę zachwiany w drugiej części, no ale ułan był ranny. Ten zbiór opatrzone był odręczną dedykacją samego autora i to komu? Mojemu bratu! Poczułam się tak, jakby Leon Kruczkowski należał do rodziny, jakby był moim wujkiem. Tak to krótka dedykacja może zamącić w piętnastoletniej teplotynie. Pamiętam jeszcze jedną perelkę pięknej polszczyzny. Nasz wychowawca, filolog klasyczny polecił nam tak niezobowiązująco Jana Parandowskiego *Niebo w płomieniach*. I tam właśnie wyczytałam to piękne zdanie, którym do dziś się zachłystuję: Oto bohater powieści, Hubert na lekcji greki tłumaczy na język polski telemachię i w tym czasie wchodzi do klasy ojciec Huberta. Autor tak to przedstawia: *Już Telemach przekroczył próg heksametru obiema stopami, a trzeci spondej zawisł w górze jak podniesiona na powitanie ręka*. I leż ten mistrz słowa zmieścił w tym krótkim zdaniu!



TOMASZ HOŁYŃSKI

Mieszka w Dankowie, ukończył Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu w katedrze fotografii. Dyplom zrealizował w pracowni fotografii prof. Piotra Wołyńskiego i profesora dr. hab. Piotra Chojnackiego. Doświadczenie i stosunek do niemieckiej architektury na terenach odzyskanych po 1945 roku to przewodni temat jego pracy pt. *Tankow. Gwałt architektury*. Tego doświadczenia poszukuje w Dankowie, który jeszcze w styczniu 1945 roku nazywał się Tankow.



Zrealizowane wystawy i działania artystyczne:

- 2009, październik – „Pierwsza, Grupa Hołyńskijanczewski”, Galeria Azył–Art w Gorzowie Wielkopolskim
- 2010, styczeń – „Anioły”, Mała Galeria Fotografii w Gorzowie Wielkopolskim
- 2010, wrzesień – „Nieoczywiste 2010”, Słodownia w Starym Browarze w Poznaniu
- 2011, kwiecień – „Po kolei”, Andrzej Janczewski, Tomasz Hołyński, Stacja Faleńca w Warszawie
- 2011, listopad – „Tak było”, BWA, Miejski Ośrodek Sztuki w Gorzowie Wielkopolskim
- 2013, wrzesień – „Granica”, „Grupa fotograficzna 18x24”, festiwal fotografii INTERPHOTO w Białymstoku
- 2016, wrzesień – „Tankow. Gwałt architektury”, Edukacyjny Festiwal Sztuki Art Noble 2016 w Żyrardowie
- 2016, październik – „Epoché”, III Wielkopolski Festiwal Fotografii im. Ireneusza Zjeżdżałki w Poznaniu
- 2017, październik – „Tankow. Gwałt architektury”, MitOst – Festiwal, Frankfurt 2017
- 2019, grudzień – *Gorzów 12 smaków*, promocja książki wraz z wystawą, Łubu Dubu w Gorzowie Wielkopolskim
- 2020 – 2022 – książka *ROZUMIENIE MIEJSCA – REAKCJA CIAŁA I DOZNANIE POETYCKIE*, promocja w WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim
- 2024, marzec – „Czas i przestrzeń” – podsumowanie warsztatów fotograficznych dzieci i młodzieży ze Świetlicy Jaskółka WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

DZIAŁO SIĘ

Gabriela Rodak

Varia

Od 8 do 15 maja Biblioteka Herberta świętowała Tydzień Bibliotek. W ramach obchodów zorganizowano liczne spotkania autorskie, konkursy recytatorskie oraz przeprowadzono wiele warsztatów dla różnych grup wiekowych, w tym warsztaty rękodzieła, terapeutyczne i zdrowotne.

20 maja w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta odbył się koncert poznańskiego chóru Senioritki. Wydarzeniu patronował klub Na Zapiecku, było ono współfinansowane ze środków Urzędu Miasta Gorzowa.

24 czerwca, w 20. rocznicę śmierci Czesława Miłosza, Wypożyczalnia Główna Książnicy zorganizowała spotkanie literackie poświęcone jego twórczości. Rozpoczęto od przybliżenia sylwetki poety przez Aleksandrę Gratkę, nauczycielkę języka polskiego z I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki. Gościnnie wystąpili również aktorzy z Teatru im. Juliusza Osterwy – Joanna Rossa i Przemysław Kapsa.

27 czerwca w gmachu głównym odbyła się promocja drugiego w tym roku numeru czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” (2/97). Zawartość kwartalnika omówiły tradycyjnie Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz Beata Igielska. Podczas wydarzenia z repertuarem muzycznym wystąpił Bartek Orzeł. W dalszej części spotkania Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk poprowadziła rozmowę z Anetą Długołęcką, autorką tomiku poetyckiego *Pierwszy tatuaż*.



W okresie wakacyjnym młodzi czytelnicy Biblioteki Herberta dowiedzieli się więcej o aspektach wielokulturowości dzięki projektowi „Z książką dookoła świata”. W programie, obejmującym siedem tygodniowych cykli zajęć, zawarto tematykę obyczajów Egiptu, Japonii, Chin, Indii, Stanów Zjednoczonych, Anglii oraz Francji. Projekt dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Spotkania autorskie

23 kwietnia odbyło się spotkanie autorskie dr hab. Emilii Kledzik połączone z promocją jej najnowszej książki *Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego* nominowanej do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2023. Wydarzenie moderowała prof. dr hab. Katarzyna Taborska.

14 maja Filia nr 6 gościła Olgę Smolec-Kmoch, właścicielkę wydawnictwa Na Szczęście. Zaproszona opowiedziała o pracy wydawniczej oraz przeczytała fragment swojej powieści.

18 maja w Bibliotece Herberta miała miejsce promocja książki *Jak Niebo schodzi na Ziemię. Droga integracji ducha, umysłu i ciała* autorstwa Rafała Wereżyńskiego. W drugiej części wydarzenia uczestnicy mogli poćwiczyć praktyki oddechowe oraz poczęstować się „ceremonialnym” kakao.

21 maja Filii nr 4 odwiedziła Joanna Jagiełło, autorka książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Pisarka opowiedziała o książce *Pamiętnik Czachy* oraz prowadziła ciekawe dyskusje z publiką.

Nowa Marchia

26 kwietnia w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” odbyła się promocja książki *Porządek ogniowy miasta Gorzowa Wielkopolskiego z 1687 roku* autorstwa dr Katarzyny Sanockiej-Tureczek. Jest to najnowsza publikacja wydana przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę im. Zbigniewa Herberta. Autorka wygłosiła referat o gorzowskim pożarnictwie. Odbiorcy mogli również obejrzeć ciekawy eksponat – sztandar z 1907 r.

16 maja w Bibliotece Herberta goszczono gorzowską dziennikarkę Dorotę Frątczak. W ramach wydarzenia pod hasłem „Dokąd prowadzi ciekawość świata i ludzi” przybliżono publiczności historie zebrane podczas ponad 30-letniej pracy reporterskiej. Moderatorką rozmowy była Izabela Patek, dziennikarka Radia Zachód, a oprawą muzyczną zajęła się Monika Kowalska.

3 czerwca Książnicę odwiedziła dr Gabriela Augustyniak-Żmuda, laureatka Lubuskiego Wawrzynu Naukowego. Spotkanie z autorką poprowadził dr Bartosz Cemborowski. Wydarzenie zostało połączone z promocją książki *Biografie językowe przesiedleńców ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej mieszkających w regionie lubuskim*.

Wystawy

10 maja w galerii Pod Kopułą otwarto pokonkursową wystawę 42. Gorzowskich Konfrontacji Fotograficznych. To najstarszy konkurs fotograficzny w Polsce.

W Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie eksponowano 151 zdjęć 38 autorów.

3 czerwca odbył się wernisaż wystawy „Żywioty – Ogień”. Ekspozycja powstała w ramach współpracy słuchaczy gorzowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku oraz uczestników warsztatów fotograficznych Miejskiego Domu Kultury. Wystawione prace fotograficzne tematycznie związane były z żywiołem ognia.

7 czerwca galeria Pod Kopułą gościła ekspozycję malarstwa Ewy Niśkiewicz-Krawczyk. Oprawę muzyczną podczas wernisażu zapewнили uczniowie z gorzowskiej Państwowej Szkoły Muzycznej – Tymoteusz Krawczyk, Faustyna Nęcza oraz nauczycielka Hanna Szurkało.

27 czerwca w galerii Krąg odbył się wernisaż wystawy „Kolory terapii”. Prace powstały w ramach zajęć z arteterapii, a ich autorami są pacjenci z Centrum Zdrowia Psychicznego przy Wielospecjalistycznym Szpitalu Wojewódzkim w Gorzowie Wielkopolskim.

5 lipca w Książnicy Herberta otwarto wystawę „Gobeliny” Krystyny Dziewiątowskiej-Gintowt „Dziwonii”. Autorka zostawiła jedno puste miejsce wśród prezentowanych dzieł, by podczas wernisażu stworzyć kolejną pracę na oczach widzów.

Konferencje

9 maja w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wielkopolskim zorganizowano polsko-niemiecką konferencję naukową „Wspólne dziedzictwo – wspólna historia. 900 lat ustanowienia biskupstwa lubuskiego 1124(25)-2024”. Jej pomysłodawcą był regionalista Zbigniew Czarnuch, a współorganizatorami i partnerami Uniwersytet Zielonogórski, Brandenburgisches Landeshauptarchiv Potsdam oraz Brandenburgische Historische Kommission e.V. Wydarzenie zostało objęte patronatem marszałka województwa lubuskiego Marcina Jabłońskiego i wojewodę lubuskiego Marka Cebulę oraz dofinansowane przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej. Czternastu polskich i niemieckich naukowców przedstawiło przedmiotowe referaty, co stanowiło okazję do upamiętnienia ustanowienia biskupstwa lubuskiego.



JERZY ALSKI: pisarz, felietonista, kompozytor, myśliciel. Członek ZLP. Miłośnik życia i uważny obserwator ludzkiej natury. Mieszka w Myśluborzu. Wydał kilka powieści, m.in.: *Za duża miłości* (2011), *Prezent* (2012), *Mowa pogrzebowa* (2017), *Ekosystem* (2019), *Zachwyty* (2021), *Lot* (2021), *Kobiety i Grześ* (2022).

Alter ego uznanego lekarza Krzysztofa Ansiliewskiego.

MARIA BORCZ: poetka, pisarka, członkini RSTK. Debiutowała tomikiem wierszy *Tęczowa zabawa* (2007), kolejne tomiki to: *Najeżona oczywistość* (2009), *Galązka jaśminu* (2010), *Bidul* (2011), *Z katyżu miasta* (2012), *Spopieleni* (2014), *Światłocienie* (2014), *Zabłąkani we mgłę* (2015), *Duchowy kanibalizm* (2017), *W hotelach świata* (2018), *Mikrochaos* (2016) i *W gąszczu niebieskich migdałów* (2022). W 2023 roku ukazał się zbiór wierszy *W pułapce miejsca i czasu*.

ANETA DŁUGOŁĘCKA: poetka i fotografka. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z RSTK i nieformalną grupą fotograficzną fCzasowice. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stofu* ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*. W tym roku w Bibliotece Pegaza Lubuskiego wydana tomik poezji *Pierwszy tatuaż*.

Dr MACIEJ DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilnowskim pt. *Tomek na Alasce*.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Druga strona grzechu i trzech tomików poezji*. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

ANETA GZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego kółka teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).

FERDYNDAN GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Książd katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”,

„Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpocząć od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowiczy. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktor naczelnej „Pegaza Lubuskiego”.

JANINA JURGOVIĄK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydana zbiór wierszy *Odroczenie*.

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów, De-Klaracje, Misterium Solitera, Martwia, Łęgna* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAiKS, Fundacji im. W. Szyborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zdobywczyni Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa – MOTYLA. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym dwukrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

AGNIESZKA KOPACZYŃSKA-MOSKALUK: dziennikarka, edukatorka, pomysłodawczyni Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana FurmanKa. Wydała trzy książki poetyckie: *Ze słońcem w kieszeni* (1992), *Codziennie* (1997) i *Kochany* (2009) oraz książkę kulturalno-kulinarną *Landsberg/Gorzów – miejsce pamięci* (2015). Od 2018 roku pracuje z dziećmi, czego efektem jest 5 książek z bajkami, scenariusze do przedstawień oraz słuchowiska radiowe. Od 2021 roku prezesa gorzowskiego oddziału ZLP.

MAGDALENA KUBACKA: Gorzowianka; rocznik '92. Trwającą od dziecka hiperfiksację na słowa, litery i znaki typograficzne przekształciła w ścieżkę kariery. W mitycznym wolnym czasie lubi zanurzyć się także w innych formach artystycznej ekspresji. Albo odciąć się od świata w muzeum.

MONIKA MIŁOSZ: mieszkanka maleńkiej wsi w gminie Dobiegniew. Jej wiersze ukazywały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej”, „Przymatu Literackiego”, „Czterech Zeszytów and after” oraz w dwóch antologiach poetyckich: *W rytmie poezji 2 i Niosąc pomoc Olusiowi*. Laureatka szczebińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr”. W 2023 roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy na ul. Brackiej w Krakowie w ramach projektu „Wiersze na murach”.

EDYTA PŁUCIŃSKA: gorzowianka, od ponad dwudziestu lat zawodowo zajmuje się uczeniem matematyki. Poezję zaczęła tworzyć już w szkole średniej. Pasjonuje się też fotografią, rysunkiem intuicyjnym i rozwojem duchowym. Zbiór jej tekstów w tym roku został nominowany w konkursie na debiut czasopisma „Pro Libris”.

GABRIELA RODAK: Lubuszanka, bibliotekarka, studentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza na kierunku filologia polska. Od najmłodszych lat interesuje się literaturą i sztuką. Maluje akwarele, śpiewa do muzyki z radia, do szuflady pisze od wczesnej młodości. Tekst *Rozmowa* to jej debiut literacki.

EWA RUTKOWSKA: animatorka i działaczka kultury. Założycielka Klubu Literackiego przy Wojewódzkim Domu Kultury, znanego później jako Klub Poetów Okrągłego Stotu. Współorganizatorka Ogólnopolskich Spotkań Młodych Autorów i Kompozytorów SMAK w Myśliborzu. Działała w gorzowskim oddziale Towarzystwa Kultury Teatralnej, współpracowała z Wydawnictwem Artystyczno-Graficznym Arsenał, pisała relacje z wydarzeń kulturalnych dla portalu GILK. Obecnie współpracuje z portalem milpress.pl.

MARIUSZ SOBKOVIK: redaktor naczelny Gorzowskiego Magazynu Fantastycznego „LandsbergON” oraz czasopisma regionalnego „Młody Lubuszanin”. Laureat konkursów literackich, autor książki *Opowieści z czasów zarazy*, która była nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2023 roku wspólnie z żoną Aleksandrą napisał przewodnik po regionie *Niesamowite Lubuskie: notatki z podróży*. Prezes Stowarzyszenia NOVUM, zakochany w Gorzowie i jego historii.

MAGDA TURSKA: pisarka, bibliotekarka, menadżerka kultury. Mieszka w Santocku. Pracuje w Gorzowie. Była prezeską stowarzyszenia Otwarty Krąg i OKO – Oblicza Kłodawskich Okolic. Członkini Stowarzyszenia Alumni (absolwentka programu IVLP). Zawodowo od 17 lat związana z bibliotekami. W latach 2007-2021 pracowała w Kłodawie, a od 2021 – w gorzowskiej Książnicy. Laureatka III edycji Konkursu Stypendialnego im. Olgi Rok. Uczestniczka projektu „Młode menedżerki kultury” Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „e”. Wydała *Międzyczas, którego nie ma i inne małe prozy*, *Wodne granice* oraz zbiór opowiadań *Szczęśliwostki*.

TOMASZ WALCZAK: poeta, pedagog teatru, dziennikarz obywatelski, animator kultury. Absolwent Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Przez kilkanaście lat zawodowo związany z Teatrem im. Aleksandra Sewruka w Elblągu. Jako poeta debiutował w antologii *I znów będziemy poetami* (Gorzów 1993). Jego wiersze publikowane były w wielu czasopiśmiech literackich. Otrzymał odznaczenie od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Zastużony dla kultury polskiej, oraz Nagrodę Prezydenta Elbląga – Kreator Kultury. Jest laureatem kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Powołał do życia Drezdenecką Scenę Literacką oraz Festiwal Literacki Stowa na Puszczy. Zainicjował działalność Grupy Literacko-Artystycznej Lubdrzeń. Wydał tomiki poezji: *Blizny* (2006), *Drzazgi w myśl* (2010) i *Fantasmagorie* (2014).

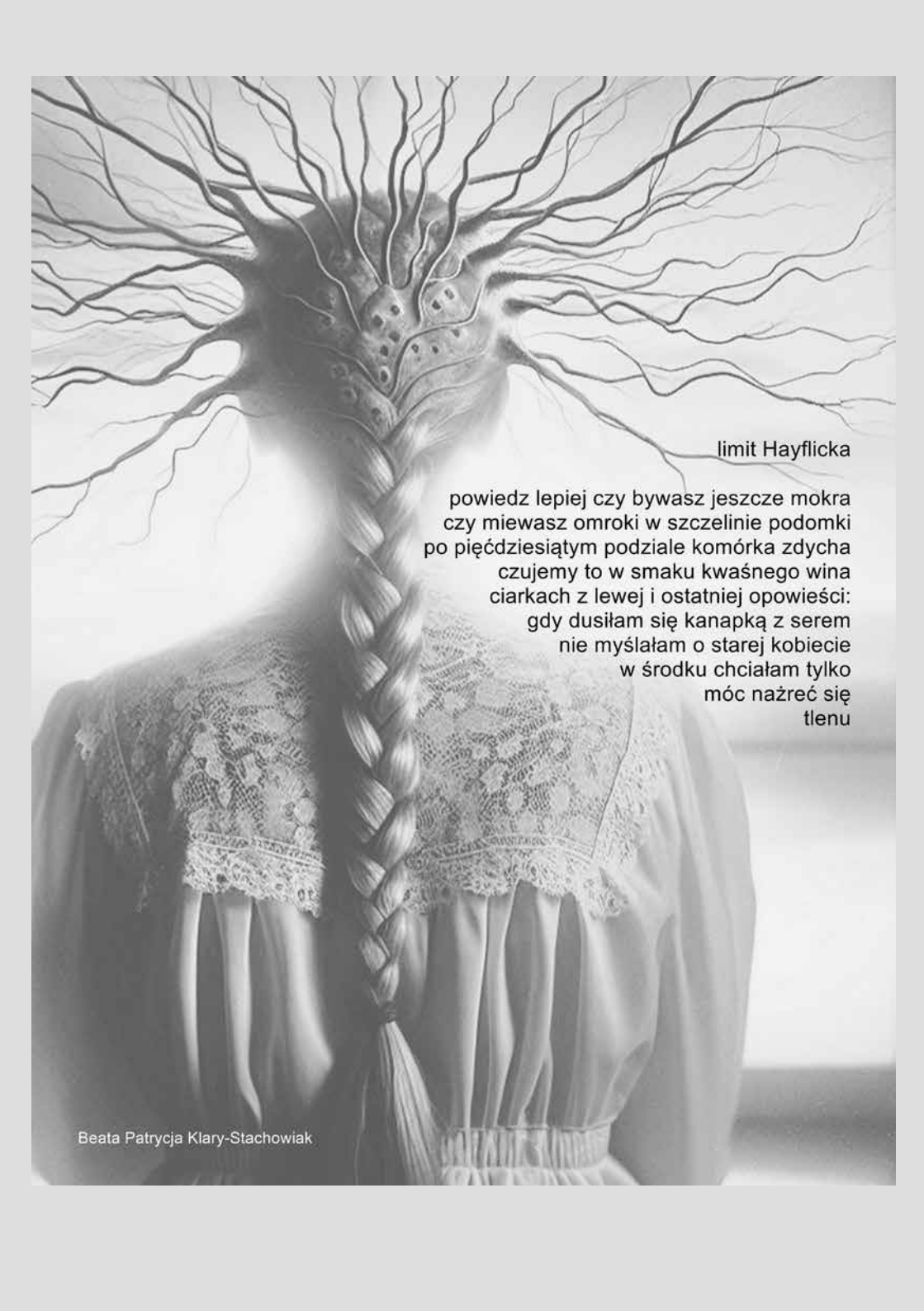
ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie miejsca – odkrywanie siebie, czyli banaty i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.

IWONA MAŁGORZATA ŻYTKOWIAK: mieszkająca w Barlinku pisarka, polonistka i filozofka. Opublikowała wiele powieści obyczajowych (m.in. *Tonia*, *Kobiety z sąsiedztwa*, *Tam, gdzie twój dom*, *Świat Ruty*, *Matka swojej córki*, *Czas łucji*, *Zamknij oczy*, *Epizody z życia mojej mamy* i *Niechciane*) oraz tom wierszy *Zywotjętki*. W tym roku ukazała się jej powieść *Kobiety Peterssenów*. Należy do Związku Literatów Polskich.



OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: DROGOWSKAZY	1
WIERSZE NA OTWARCIE	
Joanna Ziemińska-Kurek : Pewność	2
Stoję nad urwiskiem	2
TEMAT NUMERU: DROGOWSKAZY	
Jerzy Alski: DROGOWSKAZY, CZYLI SZTUKA OPOWIEŚCI	4
POEZJA	
Iwona Małgorzata Żytkowiak: (do współczesnego poety)	10
Czytając Herberta kolejny raz	11
" [„na początku było Słowo...”]	11
Jerzy Hajduga: Dłużej nam	12
Plecak ewakuacyjny	12
Winniczek winny spaceru	12
Edyta Płucińska: [„Dialog wewnętrzny...”]	13
#wskazy	13
#krok	13
Tomasz Walczak: Na odpuszczenie	14
*** [„dzieli nas tylko blask...”]	14
OPOWIADANIE	
Magdalena Kubacka: ŚMIEJ SIĘ DLA ŚWITEZIANKI	15
POEZJA	
Łucja Fice: IDE	20
Aneta Gizińska-Hwozdyk: Człowiek	21
Dostałem nowe życie	21
OPOWIADANIE	
Gabriela Rodak: ROZMOWA	22
POEZJA	
Monika Miłoś: Lacerta puella	25
Znaki skrzydlate	25
Terapia szokowa	25
Wczoraj lato	25
Aneta Długotecka: DROGOWSKAZY	26
w kąciku	26
bliskość	26
psychoterapia	26
własna bajka	27
poranny reset	27
omen	27
w promieniach	27
PKS	27
ESEJ	
Maria Borcz: EMPATIA CZY MIŁOŚĆ	28
FELIETON	
Łucja Fice: MOJE WEWNĘTRZNE PODRÓŻE	31
OPOWIADANIE	
Mariusz Sobkowiak: DRZWI, KTÓRYCH NIE NALEŻY OTWIERAĆ	33
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Maciej J. Dudziak: DROGOWSKAZY. KIERUNKI. PRZYGDODNOŚĆ	39
POEZJA	
Janina Jurgowiak: BALLADA DZIADOWSKA	45
GRZECZNOŚĆ	45
ŚWIATŁO	45
SATYRA	
Ferdynand Głodzik: 125 lat gorzowskich tramwajów	46
Zasiew	46
POEZJA	
Zbigniew Witostawski: VILANELLA NA TEMAT PRAWA O RUCHU DROGOWYM	47
RECENZJA	
Beata Igielska: PRZESZŁOŚĆ NIGDY NIE MIJA	48
ROZMOWA	
Agnieszka Moskaluk: KIERUNEK – UWAGA	49
RECENZJA	
Beata Igielska: KOBIECY PETERSSENÓW SĄ WSZĘDZIE	52
ESEJ	
Magda Turska: UNOSZĄC SIĘ PONAD CHODNIKAMI	54
Wspomnienia	
Ewa Rutkowska: O TYM, CO JUŻ BYŁO...	57
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkała: SNY I INNE ZMARTWIENIA	59
SZTUKA	
TOMASZ HOŁYŃSKI	62
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: DZIAŁO SIĘ	63
BIOGRAMY	66



limit Hayflicka

powiedz lepiej czy bywasz jeszcze mokra
czy miewasz omroki w szczelinie podomki
po pięćdziesiątym podziale komórka zdycha
czujemy to w smaku kwaśnego wina
ciarkach z lewej i ostatniej opowieści:
gdy dusiłam się kanapką z serem
nie myślałam o starej kobiecie
w środku chciałam tylko
móc nażreć się
tlenu



PADOK PEGAZA 2024

warsztaty literackie ZLP

11 PAŹDZIERNIKA 2024

17:00

WIMBP W GORZOWIE

UL. SIKORSKIEGO 107

SALA NR 8

Piszesz? Chcesz popracować nad swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Przygotuj teksty (także na pendrive)

i otwartą głowę.

Przyjdź na spotkanie!

Podczas warsztatów będziemy

czytać przygotowane przez

uczestników teksty

i wspólnie poddawać je analizie.

Zapraszamy!